

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA ZIELONEGO
DUCHA**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyli: ANDRZEJ NOWAK i BARBARA SŁAWOMIRSKA)

WSTĘP ALFREDA HITCHCOCKA

Nie chcę nikogo straszyć, ale uważam za swój obowiązek ostrzec Was, że już na następnych stronach spotkacie - jak to sugeruje sam tytuł książki - pewnego zielonego ducha. Oprócz niego natkniecie się na kilka dziwnych pereł i na małego psa, który nie odgrywa w tej historii żadnej roli, ponieważ w ogóle nic nie robi. A może jednak odgrywa jakąś rolę? Czasami bowiem bezczynność jest równie ważna, jak i wypełnianie jakiejś czynności. Warto to sobie przemyśleć.

Mógłbym Warn również opowiedzieć o innych dziwnych wydarzeniach, ekscytujących przygodach i pełnych napięcia sytuacjach, z którymi się zetkniecie, ale jestem pewien, że wolicie raczej sami o nich przeczytać. Zadowolę się więc przedstawieniem Warn, tak jak to już obiecałem, naszych Trzech Detektywów.

Przedstawiam ich już po raz kolejny i przyznaję, że czyniąc to wcześniej miałem nieraz poważne wątpliwości, jednakże od tamtych czasów bardzo polubiłem Jupitera Jonesa, Boba Andrewsa i Pete'a Crenshawa. Sądzę, że znajdziecie w nich dobrych towarzyszy gwoli spędzenia wieczoru tajemnic, przygód i emocji.

Owi chłopcy założyli firmę "Trzej Detektywi" i spędzają swój wolny czas rozwiązując wszelkie tajemnice, jakie tylko zdołają napotkać. Mieszkają w Rocky Beach w Kalifornii, w miasteczku położonym na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, kilka mil od Hollywoodu. Bob i Pete mieszkają ze swoimi rodzicami, a Jupiter - ze swoim wujem, Tytusem Jonesem, i ciotką, Matyldą Jones, którzy są właścicielami i zarazem pracownikami Składu Złomu Jonesa, słynnej graciarni, gdzie można znaleźć niemal wszystko.

Na tym właśnie złomowisku znajduje się przyczepa kempingowa, która uległa uszkodzeniu w trakcie jakiegoś wypadku, a której Tytus Jones nigdy nie zdołał sprzedać. Pozwolił Jupiterowi i jego przyjaciółom korzystać z niej do woli, a oni przebudowali ją na Kwaterę Główną nowoczesnej firmy detektywistycznej. Mieści się w niej małe laboratorium, ciemnia i biuro z biurkiem, maszyną do pisania, telefonem, magnetofonem oraz wieloma książkami i informatorami. Całe wyposażenie zostało skompletowane przez Jupitera i dwóch pozostałych z przeróżnych gratów wyrzuconych na złomowisko.

Jupiter nakłonił Hansa i Konrada, dwóch rośłych braci blondynów rodem z Bawarii, którzy pracują na złomowisku jako pomocnicy, by ustawiali stopy odpadów wokół przyczepy w ten sposób, iżby stała się ona niewidoczna od zewnątrz. Dorośli zupełnie o niej zapomnieli. Tylko Trzej Detektywi wiedzą o jej istnieniu i utrzymują rzecz w tajemnicy, wchodząc do

Kwatery jedynie ukrytymi przejściami.

Najczęściej używają Tunelu Drugiego, odcinka rury z blachy falistej, która - począwszy od ich zewnętrznego warsztatu - biegnie częściowo pod ziemią i, pokonując sterty przeróżnych rupieci, dociera aż pod Kwaterę Główną. Przeczolągawszy się przez nią, wracają do Kwatery przez rodzaj klapy w podłodze. Są tu też inne wejścia, ale omówimy je w stosownej porze.

Chłopcy, gdy znajdzie potrzeba odbycia dalszej podróży, mogą korzystać z pozłacanego rolls-royce'a z szoferem. Jupiter Jones wygrał w pewnym konkursie prawo do korzystania z tego samochodu przez trzydzieści dni. Odbywając krótsze wędrówki korzystają z rowerów, a czasami Hans lub Konrad podwożą ich jedną z ciężarówek ze Składu Złomu.

Jupiter Jones jest krępy, muskularny, lecz trochę jakby zbyt pulchny. Niektórzy ludzie, nieprzyjaźnie doń nastawieni, nazywają go grubasem. Ma okrągłą twarz, która czasami nie sprawia wrażenia nazbyt inteligentnej. Byłby to jednak bardzo zwodniczy wniosek, gdyż skrywa ona nader lotną inteligencję, Jupiter ma wspaniały umysł i jest z niego dumny. Ma wiele dobrych cech, ale przesadna skromność bynajmniej do nich nie należy.

Pete Crenshaw, wysoki, miedzianowłosy, muskularny, nadaje się do przeróżnych atletycznych wyczynów. Jest prawą ręką Jupitera, gdy idzie o śledzenie podejrzanych osobników, a nadto dopomaga mu w wielu innych niebezpiecznych przedsięwzięciach.

Bob Andrews, chłopak nieco delikatniejszej od niego budowy, ma jasne włosy i uwielbia się uczyć. Chociaż bardzo odważny, zajmuje się głównie prowadzeniem akt i wykonywaniem przeróżnych ekspertyz na rzecz firmy. Pracuje w niepełnym wymiarze godzin w miejscowej bibliotece, co pozwala mu na wyszukiwanie wielu danych, pomocnych w prowadzonych przez Trzech Detektywów akcjach.

Opisałem Wam to wszystko po to, żeby w przyszłości nie przerywać opowiadania powtarzaniem informacji, które być może ten i ów spośród Was już posiadał, czytając o poprzednich sprawach dotyczących Trzech Detektywów.

Lecz, tak czy owak, naprzód! Zielony duch lada chwila da o sobie znać!

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

ZIELONY DUCH WYJE

Nagle wycie zaskoczyło Boba Andrewsa i Pete'a Crenshawa.

Stali na zarośniętym chwastami podjeździe i przyglądali się staremu pustemu domowi, wielkiemu niczym hotel; jedna z jego ścian, tam gdzie robotnicy rozpoczęli swą pracę, zdążyła lec już w gruzach. Księżycowa poświata sprawiała, że wszystko wydawało się mgliste i nierealne.

Bob miał zawieszony na szyi przenośny magnetofon i mówił do mikrofonu, opisując wszystkie ich poczynania. Lecz nagle przerwał, odwrócił się do Pete'a i powiedział:

- Mnóstwo ludzi uważa, że w tym domu straszy, Pete. Ogromna szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym, kiedy Alfred Hitchcock szukał domu nawiedzanego przez duchy do jednego ze swoich filmów. - Miał na myśli okres, kiedy poznali słynnego reżysera filmowego, rozwiązawszy wpierw tajemniczą zagadkę Zamku Grozy.

- Idę o zakład, że panu Hitchcockowi z pewnością by się tu podobało - zgodził się Pete. - Tyle że mnie się nie podoba. Właściwie z każdą chwilą denerwuję się coraz bardziej. Co byś powiedział na to, gdybyśmy się stąd wynieśli?

I wtedy właśnie w domu rozległo się wycie.

- liiii... aaaa! - Był to jakiś wysoki głos, bardziej nawet zwierzęcy niż ludzki. Obu chłopcom włosy zjeżyły się na głowach.

- Słyszałeś? - wykrztusił Pete. - Teraz to już naprawdę trzeba się stąd wynosić!

- Poczekaj! - odrzekł Bob i stał niewzruszenie w miejscu, mimo iż w pierwszym odruchu chciał rzucić się do ucieczki.

Widząc wahanie Pete'a powiedział:

- Włączę magnetofon, może usłyszymy coś więcej. Jupiter na pewno by tak zrobił.

Miał na myśli Jupitera Jonesa, ich wspólnika w firmie "Trzej Detektywi", którego w tej chwili wraz z nimi nie było.

- No cóż... - zaczął Pete. Ale Bob już wcisnął klawisz i skierował mikrofon ku pustemu domowi, murszejącemu ze starości wśród drzew.

- Aaaaach... aaiii... iii! - Wycie rozległo się znowu, by potem, zamierając, pogrążyć ich w odmętach niepokoju.

- Chodźmy stąd - wyjąkał Pete. - To nam w zupełności wystarczy.

Bob całkowicie się z nim zgadzał. Odwrócili się na pięcie i pobiegli starym

podjazdem do miejsca, gdzie zostawili swoje rowery.

Pete gnał zwinnie jak sarna, a Bob biegł szybciej, niż zdarzało mu się to czynić w ostatnich latach. Kiedyś spadł ze skalistego zbocza, złamał w kilku miejscach nogę i przez długi czas miał ją unieruchomioną w szynie. Lecz noga zrosła się bardzo dobrze i w końcu, po dłuższym okresie ćwiczeń, właśnie w ubiegłym tygodniu, Bobowi powiedziano, że może już szynę odrzucić.

Teraz, już bez niej, czuł się tak lekko, jakby niemal mógł latać. Ale chociaż obaj biegli co tchu w piersi, ani on, ani Pete nie zdołali uciec zbyt daleko.

Bo nagle, niespodziewanie, zatrzymały ich czyjeś silne ramiona.

- U... ach! - sieknął zdumiony Pete, zahaczywszy głową o kogoś, kto stał tuż za nim. Bob także zatrzymał się gwałtownie, wpadając na mężczyznę, który pochwycił go zniemacka i teraz trzymał.

Całym pędem wpadli na grupę mężczyzn, którzy podeszli w ślad za nimi podjazdem, podczas gdy oni stali przysłuchując się dziwnemu wyciu.

- Hola, chłopcze! - skarżył się żartobliwie mężczyzna, który pojmał Pete'a. - Omal mnie nie przewróciłeś!

- Co to był za dźwięk? - spytał ten drugi, który powstrzymał Boba przed upadkiem, kiedy chłopiec zderzył się z nim gwałtownie. - Widzieliśmy was, chłopcy, jak staliście nad słuchując.

- Nie wiemy, co to było - odezwał się Pete. - Ale według nas brzmiało to jak skarga upióra.

- Upiór! Co za bzdura!... Może ktoś tam ma jakieś kłopoty?... Może to jakiś włóczęga?...

Pięciu lub sześciu mężczyzn, tworzących grupę, z którą zderzyli się chłopcy, zaczęło naraz mówić jeden przez drugiego, zapominając o Pete'em i Bobie. Chłopcy nie widzieli wyraźnie ich twarzy. Ale zdawało im się, że wszyscy oni są porządnie ubrani i mówią tak, jak typowi mieszkańcy tej sympatycznej dzielnicy, która otaczała porośnięte chaszczami tereny i ów pusty dom, znany jako posiadłość Greena.

- Uważam, że powinniśmy wejść do środka! - oświadczył stanowczo jeden z mężczyzn o niezwykle głębokim głosie. Bob nie widział rysów jego twarzy; spostrzegł jedynie, że nosił wąsy.

- Przyszliśmy tylko po to, żeby spojrzeć na ten stary budynek, zanim zostanie zburzony. Usłyszeliśmy krzyk. Może ktoś jest tam w środku, a do tego spotkał go jakiś wypadek.

- Uważam, że powinniśmy wezwać policję - rzucił, trochę jakby nerwowo, mężczyzna w kraciatej sportowej marynarce. - Badanie takich spraw należy przecież do ich obowiązków.

- Może naprawdę coś się komuś tutaj stało - powiedział mężczyzna o głębokim głosie. - Zobaczymy, czy będziemy mu mogli w czymś pomóc. Bo kiedy my będziemy czekać na policję, on gotów jeszcze umrzeć.

- Zgoda - odezwał się mężczyzna w okularach o grubych szklach. - Sądzę, że powinniśmy wejść do środka i rozejrzeć się tam. - Wy możecie wejść, a ja pójdę wezwać policję - powiedział mężczyzna w kraciatej marynarce. I już zamierzał odejść, kiedy przemówił mężczyzna prowadzący na smyczy małego psa.

- Może to tylko sowa albo kot, które dostały się do środka - powiedział. - I jeśli wezwie pan do tego policję, będzie panu potem bardzo głupio.

Mężczyzna w kraciatej marynarce zawahał się.

- Cóż... - zaczął. Lecz w tym samym momencie przejął dowodzenie jakiś potężny facet, najwyższy spośród wszystkich w grupie.

- Chodźcie - zdecydował. - Jest nas tu pół tuzina i mamy kilka latarek. Wpierw rozejrzemy się wewnątrz, a potem, jeśli to będzie konieczne, wezwiemy policję. Wy, chłopcy, możecie iść do domu, nie będziecie nam potrzebni.

Ruszył wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką, która prowadziła w kierunku domu, a inni, po chwili wahania, podążyli w ślad za nim. Mężczyzna, który prowadził na smyczy małego psa, wziął go teraz na rękę, natomiast ten w kraciatej marynarce raczej niechętnie wlokł się z tym.

- Chodź - powiedział Pete do Boba. - Sam słyszałeś, nie potrzebują nas. Wracajmy do domu.

- I mielibyśmy nie sprawdzić, co wywołało ten hałas? - zapytał Bob. - Pomyśl, co powie Jupe. Zapłacze się na śmierć. Jesteśmy przecież detektywami. Nie ma się teraz czego bać... Tylu nas tutaj jest.

Pobiegł ścieżką w ślad za mężczyznami, a Pete podążył za nim. Przed dużymi frontowymi drzwiami mężczyźni niepewnie zwolnili kroku. A później ten potężny, który przewodził, spróbował otworzyć drzwi. Rozwarły się, ukazując wewnątrz mroczną czeluść hallu.

- Zapalcie latarki - powiedział. - Chcę się dowiedzieć, co to takiego było.

Zapalił własną latarkę i pierwszy wszedł do środka. Pozostali tłoczyli się depcząc mu po piętach i wkrótce trzy dalsze latarki przecięły mroki jasnymi strugami światła. Kiedy

mężczyźni już weszli, Pete i Bob cicho wśliznęli się za nimi do środka.

Znaleźli się w obszernym hallu, w którym niegdyś zapewne urządzano przyjęcia. Mężczyźni, którzy mieli latarki, omietli snopami światła przestrzeń dookoła i wówczas wszyscy stwierdzili, że ściany pokrywało coś, co niegdyś było kremowymi jedwabnymi obiciami przedstawiającymi orientalne sceny.

Imponująca kaskada schodów skręcała w dół, do hallu. Jeden z przybyłych oświetlił ją latarką.

- To pewnie właśnie stąd, pół wieku temu, spadł stary Mathias Green i skręcił sobie kark - powiedział. - Czujecie tę stęchliznę? Ten dom stał zamknięty przez całe pięćdziesiąt lat!

- Powiadają, że tutaj straszy - rzucił ktoś inny. - I skłonny jestem w to uwierzyć. Mam tylko nadzieję, że nie spotkamy tego ducha.

- Nie posunęliśmy się zbyt daleko w naszych poszukiwaniach - stwierdził tamten rosły. - Zaczniemy więc od obejrzenia parteru.

Trzymając się w grupie, mężczyźni jęli przemierzać obszerne pomieszczenia na parterze. W pokojach nie było mebli. Wszystko pokrywał kurz. Jedno skrzydło domostwa pozbawione było tylnej ściany, gdyż właśnie tego dnia rano robotnicy zabrali się do rozbiórki.

Nie zastali tu nic prócz pustych, wzmagających echo pokoi, które przemierzali z wahaniem, rozmawiając co najwyżej szeptem. Potem obeszlili drugie skrzydło rezydencji. W końcu wkroczyli do pomieszczenia, które z pewnością było niegdyś wielkim salonem. W jednym jego końcu znajdował się imponujących rozmiarów kominek, a w drugim wysokie okna.

Przybysze, czując się nieswojo, skupili się przed kominkiem.

- Niewiele tu dziaaliśmy - stwierdził któryś ścisłym głosem. - Powinniśmy wezwać policję.

- Ćśś! - przerwał mu ktoś inny. Wszyscy zastygli w milczeniu.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem - wyszeptał jeszcze inny mężczyzna. - Może to po prostu jakieś zwierzę. Zgaśmy wszystkie latarki i zobaczymy, czy coś się nie poruszy.

Świetliste smugi zniknęły. Ciemność ogarnęła pokój, jedynie przez brudne okna przedostawało się nieco bladej poświaty księżyca.

Nagle ktoś jęknął, z trudem łapiąc powietrze.

- Patrzcie! Tam, przy drzwiach!

Wszyscy się odwrócili i wszyscy zobaczyli to samo, co on. Jakaś zielonkawa postać stała przy drzwiach, dokładnie tych, przez które weszli. Zdawała się rozsiewać ulotną jasność, coś

jakby wewnętrzne światło, i chwiać nieco, jak gdyby tworzyły ją tylko lotne mgły.

Lecz kiedy Bob wpatrywał się w nią, podświadomie wstrzymując dech w piersi, wydało mu się nagle, że jest to postać mężczyzny w powiewnych zielonych szatach.

- Duch! - wystękał ktoś słabym głosem. - To stary Mathias Green!* [Green (ang.) – zielony.]

- Zapalcie wszystkie latarki! - rozkazał ostrym tonem ów postawny mężczyzna. - I skierujcie je w tamtą stronę!

Ale zanim latarki rozbłysły ponownie, zielonkawa mglista postać poszybowała wzdłuż ściany i umknęła przez otwarte drzwi. Zniknęła, ledwo tylko w jej stronę skierowano trzy snopy światła.

- Wolałbym być gdzie indziej - szepnął Pete Bobowi do ucha. - I to mniej więcej od godziny.

- Mógł to być odbłask przednich reflektorów jakiegoś samochodu - stwierdził stanowczo jeden z mężczyzn. - A trafił tu przez okno. Chodźcie, rozejrzymy się po hallu.

Wszyscy pomaszrowali więc do hallu, czyniąc przy tym spory zgiełk, i ponownie omietli go światłem latarek. Lecz nie ujrzeli tu nic. Wówczas ktoś zaproponował, żeby raz jeszcze pogasić latarki. Znowu pograżyli się w milczeniu i w mroku. Mały piesek, którego jeden z mężczyzn niósł na rękach, zaskomlał cichutko.

Tym razem Pete pierwszy dostrzegł zjawę. Wszyscy rozglądali się wprawdzie wokół, lecz on przypadkowo spojrział w górę schodów, a tam, na podeście, stała właśnie owa zielonkawa postać.

- Tam! - krzyknął. - Na schodach!

Wszyscy odwrócili się spieszenie. Ujrzeli, jak postać uniosła się z podestu, sunąc ku pierwszemu piętru.

- Chodźcie! - krzyknął rosły mężczyzna. - Ktoś nam robi głupi kawał! Złapiemy go!

Pędząc na łeb, na szyję, ruszył po schodach na górę. Lecz kiedy już wszyscy dotarli na piętro, nie zastali tam nikogo.

- Mam pomysł - odezwał się Bob. Zadał sobie właśnie pytanie, co zrobiłby w tej sytuacji Jupiter Jones, gdyby się tutaj znalazł, i uznał, że chyba zna na nie odpowiedź.

- Gdyby ktoś szedł po schodach tuż przed nami - powiedział, kiedy mężczyźni zwrócili się ku niemu, a jeden z nich zaświecił mu latarką prosto w twarz, tak że musiał przymrużyć oczy - musiałby zostawić ślad na zakurzonej podłodze. A jeśli zostawił ślady, możemy pójść po tropie.

- Chłopiec ma rację! - wykrzyknął mężczyzna z pieskiem.

- Hej, wy, poświećcie no tutaj na podłogę, gdzie jeszcze żaden z nas nie stąpał.

Trzy latarki oświetliły podłogę. Leżał tu kurz, a jakże, całe mnóstwo kurzu, lecz najwyraźniej nie poruszyła go niczyja stopa.

- Nikogo tutaj nie było! - głos mówiącego pobrzmiwał zdumieniem. - Czymże więc było to coś, co widzieliśmy, jak wchodziło po schodach?

Nikt na to nie odpowiedział, choć każdemu było wiadomo, o czym w tej chwili myślał pozostali.

- Zgaśmy latarki, a wtedy się przekonamy, czy zobaczymy to jeszcze raz - zaproponował czyjś głos.

- Chodźmy stąd - powiedział ktoś inny, lecz cały chór poparł pierwszą propozycję. Mimo wszystko było ich ośmiu czy dziewięciu - wliczając w to Pete'a i Boba - i nikt nie chciał się przyznać do tego, że się boi.

Czekali w ciemności u szczytu schodów.

Pete i Bob wpatrywali się w hali poniżej, kiedy ktoś wyszeptał zniecka:

- Na lewo! Tam, w dole, pośrodku hallu!

Odwrócili się gwałtownie. Zielona poświata, tak mglista, że z trudem dostrzegalna, zatrzymała się teraz przy drzwiach, lecz poczęła się wkrótce stawać wyraźniejsza. Teraz zdecydowanie przybrała ludzkie kształty, spowite w zielone powłóczyste szaty przywodzące na myśl strój mandaryna.

- Nie płoszmy go - powiedział ktoś przyciszonym głosem. - Zobaczymy, co robi.

Wszyscy czekali w milczeniu. Widmowa postać zaczęła się poruszać. Przepłynęła przez hali, tuż obok ściany, aż do samego końca. Wówczas skręciła za róg - albo przynajmniej tak im się wydawało - i zniknęła.

- Chodźmy za nim, ale tym razem powoli - szepnął któryś. - On wcale nie próbuje uciekać.

Bob odezwał się znowu:

- Zobaczymy, czy może teraz będą jakieś ślady stóp, a później dopiero zejdźmy na dół do hallu - zaproponował.

Zamigotały światła dwóch latarek, przesuwając się w tę i we w tę po podłodze.

- Nie ma tu żadnych śladów! - głos mężczyzny, przedtem bardzo głęboki, brzmiał teraz dziwnie głucho. - Ani jednego odcisku stopy. Cokolwiek to jest, unosi się chyba w powietrzu.

- Skoro doszliśmy już tak daleko, nie możemy teraz się cofnąć - powiedział stanowczo ktoś inny. - ja sam poprowadzę.

Ten, który to powiedział, ów rosły mężczyzna, ruszył odważnie wzdłuż hallu. Reszta poszła w ślad za nim. Dotarli do bocznego korytarza, gdzie zielona postać skręciła nagle w bok, i zatrzymał i się. Ktoś poświecił latarką w głąb. W strudze jej światła ukazało się dwoje otwartych drzwi. Za drzwiami korytarz kończył się ślepym murem.

Wyłączyli latarki i czekali. Za chwilę zielona widmowa postać wypłynęła z jednych z drzwi, przemknęła wzdłuż hallu tuląc się do ściany i zatrzymała przy ślepym murze. A potem, bardzo powoli zniknęła. Zdaje się - jak później ujął to Bob - iż po prostu przeniknęła przez mur.

I tym razem na kurzu nie było żadnych śladów. Ponadto, kiedy już później przyjechała policja, wezwana przez kogoś spośród grupy mężczyzn, ani komendant Reynolds, ani też żaden z jego ludzi nie byli w stanie odkryć jakiegokolwiek przejawu cudzej obecności. W tym domu nie było żadnych śladów bytności ludzkiej istoty; nikt tu nie doznał żadnych ran lub obrażeń, nie doszukano się również żadnego zwierzęcia. Zupełnie niczego.

Komendant Reynolds, ponieważ był policjantem, wcale nie miał ochoty zgodzić się z poglądem, iż ośmiu wiarygodnych świadków widziało tutaj ducha i słyszało na własne uszy jego zawodzenie. Lecz nie miał wyboru.

W parę godzin później pewien nocny stróż zgłosił, że widział jakąś zielonkawą widmową postać, czającą się w pobliżu tylnego wejścia do dużego magazynu. Zniknęła, gdy tylko się zbliżył, jeszcze później zatelefonowała na posterunek jakaś przerażona kobieta, twierdząc, iż przebudził ją dziwny jękliwy odgłos i zaraz też ujrzała zielonkawą postać stojącą za oknem na patio. Postać ta zniknęła, ledwie tylko kobieta zapaliła światło. A dwaj kierowcy ciężarówki opowiadali w czynnej przez całą noc restauracji, że widzieli koło swojego wozu dziwną widmową zjawę.

I wreszcie komendant Reynolds odebrał meldunek od dwóch policjantów z patrolu samochodowego, którzy widzieli jakąś postać na cmentarzu w Green Hill w Rocky Beach. Reynolds pospieszył tam czym prędzej i przeszedł przez dużą cmentarną bramę z kutego żelaza. A tam, oparta o wysoki biały nagrobek, stała zielona widmowa postać, która - gdy tylko się zbliżył - zapadła się gdzieś pod ziemię i zniknęła.

Komendant oświetlił nagrobek latarką.

Był to grób nieszczęsnego Mathiasa Greena, który pięćdziesiąt lat wcześniej spadł ze schodów w wielkim starym domu i skręcił sobie kark.

Rozdział 2

WEZWANIE DLA PETE'A I BOBA

- Aaachchch... iii!... - Nieziemski wrzask rozległ się ponownie. Ale tym razem nie wstrząsnął już Bobem i Pete'em. Pochodził bowiem z magnetofonu.

Trzej Detektywi znajdowali się teraz w swej ukrytej Kwaterze Głównej, w przyczepie kempingowej, a Jupiter Jones z napięciem wsłuchiwał się w odgłosy z taśmy, którą Bob nagrał poprzedniego wieczoru.

- Tu nie ma już więcej żadnych wrzasków, Jupe - powiedział Bob. - Reszta to już po prostu rozmowa z tymi facetami, z którymi się spotkaliśmy, nim przypomniałem sobie, że magnetofon jest na chodzie. Wyłączyłem go, kiedy tylko weszliśmy do domu.

Jupiter jednak wysłuchał wszystkiego do końca. Głosy rozmawiających poprzedniego wieczoru mężczyzn były całkiem wyraźne, ponieważ Bob nastawił magnetofon na cały regulator. Gdy taśma dobiegła końca, wyłączył magnetofon i jął w zadumie skubać dolną wargę, co zazwyczaj świadczyło, że maszyna jego mózgu ruszyła właśnie pełną parą.

- Dla mnie brzmi to jak jakiś ludzki wrzask - powiedział. - zupełnie jakby ktoś wrzasnął spadając ze schodów, a potem konał nie mając już dość siły, by krzyknąć na całe gardło.

- Takie to sprawia wrażenie! - wykrzyknął Bob. - I właśnie to wydarzyło się w tym domu przed pięćdziesięciu laty. Stary Mathias Green, jego właściciel, spadł ze schodów i skręcił sobie kark. A spadając prawdopodobnie wrzeszczał!

- Chwileczkę, chwileczkę! - zaprotestował Pete. - Dlaczego mielibyśmy słyszeć jego krzyk sprzed pięćdziesięciu lat?

- Bo może - powiedział z namaszczaniem Jupiter - ów wrzask był tylko nadprzyrodzonym echem krzyku wydanego po raz pierwszy pięćdziesiąt lat temu.

- Nie mów takich rzeczy - zaprotestował Pete. - Nie lubię tego słuchać. Jakim cudem mielibyśmy usłyszeć echo sprzed pięćdziesięciu lat?

- Nie wiem - odparł Jupiter. - Bob, ty wykonujesz dla firmy dokumentację i analizy. Podaj mi, proszę, szczegółowy opis tego, co się wydarzyło. Nie zapomnij również o tym, czego zdołałeś się dowiedzieć o historii posiadłości Greena.

Bob zaczerpnął tchu.

- No cóż - zaczął. - Pete i ja pojechaliśmy tam wczoraj wieczorem, żeby obejrzeć sobie ten dom, bo dowiedzieliśmy się, że zaczynają go burzyć. Pomyślałem, że mógłbym

napisać o tym niekiepski artykuł i miałbym go jak znalazł do pierwszego wydania gazetki szkolnej jesienią. Wziąłem ze sobą magnetofon, żeby móc nagrywać swoje pierwsze wrażenia i skorzystać z nich później przy pisaniu.

Byliśmy tam od około pięciu minut, a stary dom wyglądał wypisz wymaluj na taki, w którym straszy, kiedy nagle zza chmur wyszedł księżyc. A potem rozległ się wrzask. Ten pierwszy. Podkręciłem magnetofon na wypadek, gdyby rozległ się jeszcze jeden, bo wiedziałem, że takie nagranie będzie dla ciebie bardzo ważną sprawą.

- Znakomicie - powiedział Jupiter. - Rozumujesz jak detektyw. Już wysłuchałem z taśmy, o czym mówili ci faceci. Więc zacznij od momentu, w którym weszliście do domu.

Bob opowiedział ze szczegółami, jak przeszukując domostwo spostrzegli ową zielonkawą zjawę - wpraw na dole, później na podeście schodów i wreszcie na górze - która w końcu popłynęła przez hali, przenikając przez ścianę.

- I nie było tam żadnych śladów stóp - powiedział Pete. - Bob nie zapomniał o tym i dopilnował, żeby ci mężczyźni dokładnie oświetlili podłogę latarkami.

- Doskonała robota - stwierdził Jupiter. -Więc ilu mężczyzn widziało razem z wami to zielone widmo?

- Sześciu - odpowiedział Pete.

- Siedmiu - zaproponował Bob.

Spojrzeli po sobie. Pierwszy przemówił Pete.

- Sześciu - powtórzył. - Jestem tego pewien. Ten wysoki mężczyzna, który nas prowadził, facet o grubym głosie, ten gość z małym pieskiem, mężczyzna w okularach i jeszcze dwóch innych, którym nawet specjalnie się nie przyglądałem.

- Może masz rację - przyznał niepewnie Bob. - Policzyłem ich w środku, kiedy wszyscy byli w ruchu. Raz wyszło mi sześć, a dwa razy siedem.

- Prawdopodobnie nie ma to znaczenia - powiedział Jupiter, zapominając na chwilę o swojej własnej zasadzie, że w każdej zagadce najbardziej istotny może się w końcu okazać najdrobniejszy fakt. - No, a teraz przedstawcie mi historię tego starego domu.

- Cóż - powiedział Bob - wyszliśmy na zewnątrz, a ci faceci podzielili się na dwie grupy. Jedna z nich obstawała za tym, by wezwać policję. Dzisiaj rano w gazetach pełno było wzmianek na temat tej historii. Idąc tutaj zawadziłem o bibliotekę, tyle że tam nie mają żadnych informacji na temat domostwa Greena, bo zbudowano je przecież już tak dawno temu - nim jeszcze Rocky Beach zdążyło stać się miastem i zafundować sobie bibliotekę.

- Według tego, co piszą w gazetach, dom został zbudowany już dawno temu, będzie z sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat, przez starego Mathiasa Greena. Był on szyprem na statku

handlowym pływającym do Chin i uchodził za wyjątkowo twardego faceta. Niewiele o nim wiadomo, ale wydaje się, że podczas pobytu w Chinach wpadł w jakieś tarapaty i musiał czym prędzej stamtąd umykać. Wrócił tutaj z pewną piękną księżniczką chińską, którą poślubił. Jedna z historii głosi, że pokłócił się ze swą jedyną bratową mieszkającą w San Francisco i zamieszkał tutaj.

Inna historia mówi, że obawiał się zemsty jakichś chińskich arystokratów, być może rodziny żony, i zbudował tutaj ten wielki dom, żeby w nim się ukryć. Wówczas, jak wiecie, ta okolica była jeszcze całkiem dzika.

Żył sobie w wielkim stylu, z całą czeredą wschodniej służby. Lubił odziewać się w zielone szaty, niczym mandżurski szlachcic. Raz na tydzień dowożono mu z Los Angeles wozem zaprzęgniętym w konie zapasy żywności, tyle tylko, że pewnego dnia woźnica zastał dom pusty. Pusty, jeśli nie liczyć Mathiasa Greena, leżącego u stóp schodów ze skręconym karkiem.

Kiedy policja w końcu tu dotarła, konstable doszli do wniosku, że Green zapewne się upił, spadł ze schodów i poniósł śmierć na miejscu, a cała czereda służby uciekła w nocy drżąc ze strachu, że zostaną o to obwinieni. Zniknęła nawet jego chińska żona.

Nigdy nie znaleźli nikogo, kto by im mógł coś powiedzieć. W tamtych czasach większość Chińczyków żyjących w Stanach była bardzo skryta i bała się prawa, tak więc wszyscy śludzy albo wrócili do Chin, albo też pojechali do San Francisco i zaszyli się w tamtejszym Chinatown.

Tak czy owak, cała sprawa pozostała tajemnicą. Owdowiała bratowa Greena z San Francisco odziedziczyła posiadłość i wydała pieniądze, jakie jej pozostawił, na zakup winnicy w Verdant Valley, nieopodal miasta. Nie zgodziła się ani na zamieszkanie w domostwie, ani na jego sprzedaż. Po jej śmierci dom, nadal nie zamieszkanym, zaczął obracać się w ruinę. W końcu jednak, już tego roku, niejaka panna Lydia Green, córka owej bratowej, sprzedała posiadłość przedsiębiorcy budowlanemu, który zamierza wyburzyć dom, a na uzyskanym terenie zbudować kilka nowoczesnych domków.

Dlatego też przystąpiono do burzenia starej rezydencji i... cóż, to chyba wszystko, co mogę powiedzieć.

- Bardzo dobre streszczenie, panie archiwisto - pochwalił Jupiter. - A teraz przejrzyjmy doniesienia prasowe.

Rozpostarł kilka gazet na biurku maleńkiego biura Kwatery Głównej. Miał tu dziennik z Los Angeles, dziennik z San Francisco i gazetę lokalną. Najgłośniej wrzeszczały nagłówki tej lokalnej, donosząc wszem wobec o dziwnych wydarzeniach ubiegłej nocy, lecz i gazety z

wielkich miast poświęcały wiele miejsca zdarzeniu, Umieszczając takie oto dramatyczne tytuły:

**JĘCZĄCY DUCH OPUSZCZA ZRUJNOWANY DOM,
ABY SIAĆ PRZERAŻENIE W CAŁYM ROCKY BEACH**

**BURZĄ DOM W ROCKY BEACH,
A ZIELONY DUCH WYMYKA SIĘ NA WOLNOŚĆ**

**ZIELONY DUCH OPUSZCZA ZNISZCZONE DOMOSTWO,
BY SZUKAĆ NOWEGO MIEJSCA ZAMIESZKANIA**

Przedstawione poniżej historie utrzymane były w humorystycznym tonie, lecz podawały te same fakty, które dopiero co przedstawił Bob. Brakowało w nich tylko wiadomości, że komendant policji Reynolds i dwóch jego ludzi istotnie widzieli jakąś zieloną zjawę na cmentarzu. Lecz komendant wolał zatrzymać to dla siebie. Nie chciał stać się pośmiewiskiem.

- W gazecie piszą - zauważył Jupiter, mając na myśli "Rocky Beach News" - że ducha widziano wpierw przed wielkim magazynem, później na patio domu pewnej kobiety, a w końcu wśród kilku dużych ciężarówek przed jadalnią dla kierowców. Wyglądało to prawie tak, jakby duch szukał jakiegoś innego miejsca pobytu, gdyż postanowiono zburzyć jego dom.

- Tak - powiedział Pete z nutą sarkazmu w głosie. - Może zachciało mu się wyjechać z Rocky Beach autostopem?

- Możliwe - Jupiter wolał potraktować tę uwagę poważnie. - Choć zwykło się powszechnie uważać, że duchy nie potrzebują ziemskich wehikułów.

- Trudne słowa - jęknął Pete. Wsparł głowę na rękach, jak gdyby przytłoczony wyrażeniami Jupitera. - To trudne słowa, Jones! Ja nawet nie wiem, co to wszystko znaczy.

- Nie oznacza nic szczególnego - odrzekł Jupiter. - Natomiast cała ta sprawa wydaje mi się bardzo tajemnicza. Chyba że wyłonią się jakieś inne fakty...

Przerwało mu wołanie ciotki. Pani Matylda Jones była dużą kobietą, a głos miała potężny. To ona właściwie prowadziła cały skład złomu Jonesa, ów rodzinny interes.

- Bob Andrews! - dobiegły z oddali jej słowa. - Wyjdź wreszcie z tej sterty śmieci i pokaż się. Jest tutaj twój ojciec i chce, żebyś przyszedł. I Pete także.

Rozdział 3

UKRYTY POKÓJ

Trzej chłopcy natychmiast sforsowali długi odcinek rury z blachy falistej, tworzącej Tunel Drugi, owo sekretne wejście, z którego najczęściej korzystali. Na dnie rury ułożyli kilka starych dywanów, tak aby nierówności blachy nie siniaczyły im kolan i aby mogli wyslizgiwać się tamtędy szybko jak węgorze. Czym prędzej wspięli się na sterty złomu, który Jupiter kazał Hansowi i Konradowi ułożyć tak, aby zasłaniały ich warsztat i Kwaterę Główną. I stanęli na otwartej przestrzeni w pobliżu schludnego baraku, w którym mieściło się biuro Składu Złomu.

Tam czekała już Matylda Jones, rozmawiając z ojcem Boba, wysokim mężczyzną o wesołych oczach i kasztanowatych wąsach.

- No, jesteś, synu! - powiedział ojciec Boba. - Chodź. Musimy się pospieszyć. Komendant Reynolds chce z tobą porozmawiać. I z tobą również, Pete.

Pete przelknął ślinę. Komendant Reynolds chce z nimi porozmawiać? Sądził, że wie nawet, o czym. O wydarzeniach ubiegłego wieczoru.

Krągła twarz Jupitera zapłonęła nagłym entuzjazmem.

- Czy ja też mogę pójść, panie Andrews? - zapytał. - Jesteśmy, było nie było, jednym zgranym zespołem. Wszyscy trzej.

- Sądzę, że jeden chłopak więcej specjalnie tam nie przeszkodzi. - Pan Andrews uśmiechnął się. - Ale chodźcie już. Komendant Reynolds jest już na zewnątrz w samochodzie policyjnym i mamy z nim pojechać.

Tuż przed bramą czekał duży czarny wóz. Komendant Reynolds, zwalisty i nieco już łysiejący mężczyzna siedział za kierownicą. Jego zaciśnięte wargi i zmarszczona broda nadawały twarzy jakiegoś ponurego wyrazu.

- Dobra robota, Bill - powiedział do ojca Boba - A teraz jedźmy tam szybko. I słuchaj... jesteśmy przecież sąsiadami. Liczę więc, że pomożesz mi się uporać z zamiejscową prasą, jeśli ta sprawa... no, cała ta zwariowana historia zamieni się w coś jeszcze bardziej zwariowanego.

- Możesz na mnie liczyć, komendancie - odparł pan Andrews. - A podczas drogi do rezydencji Greena pozwól mojemu synowi opowiedzieć, co on i jego przyjaciele zaobserwował tam ubiegłego wieczoru.

- Tak, mów, co wiesz, chłopcze - powiedział komendant Reynolds zjeżdżając drogą w

dół, niemal na złamanie karku. - Słyszałem już o tym cośkolwiek od dwóch mężczyzn, którzy tam wtedy byli, lecz chciałbym jeszcze usłyszeć, jak ty to odebrałeś.

Bob szybko opowiedział, co on i Pete zaobserwowali poprzedniego wieczoru. Komendant Reynolds, słuchając, gryzł dolną wargę.

- Tak, to brzmi mniej więcej tak samo jak opowieść tamtych - stwierdził ponuro. - Nawet przy takiej liczbie świadków byłbym skłonny twierdzić, że to niemożliwe, gdyby nie...

Przerwał. Ojciec Boba, który był bardzo dobrym reporterem, spojrzał na niego bacznie.

- Coś mi mówi. Sam - stwierdził - że i ty chyba też widziałeś tego zielonego ducha. Dlatego nie upierasz się przy tym, że jest to niemożliwe.

- Tak - komendant westchnął głęboko. - ja także go widziałem. Na cmentarzu. Stał przy marmurowym obelisku wzniesionym ku pamięci starego Mathiasa Greena. I tam do licha! Kiedy na niego patrzyłem, ten zielony upiór zapadł się pod ziemię, dokładnie w tym miejscu, gdzie znajduje się grób!

Pete, Bob i Jupiter przycupnęli na samym skraju siedzeń, słuchając z przejęciem. Ojciec Boba rzucił komendantowi pytające spojrzenie.

- Czy mogę przytoczyć twoje słowa, gdy idzie o tę sprawę, Sam? - zapytał.

- Nie! Wiesz dobrze, że nie możesz! - wybuchnął komendant Reynolds. - To było tylko do twojej prywatnej wiadomości. Aha, chłopaki! Zupełnie zapomniałem, że i wy tu jesteście! Nie powtarzajcie więc tego, co tu powiedziałem. Jasne?

- Jasne, proszę pana - zapewnił Jupiter.

- Więc łącznie - ciągnął komendant Reynolds - tę zieloną poczwarę widziało... pozwólcie, że policzę. Dwóch kierowców ciężarówki w jadalni. Kobieta, która zatelefonowała. Nocny stróż w magazynie. Ja sam i dwóch moich ludzi. Dwóch chłopców...

- To daje w sumie dziewięć, Sam - przerwał mu pan Andrews.

- Dziewięć plus sześciu chłopca, którzy poszli, żeby przyjrzeć się tej starej chałupie - powiedział komendant Reynolds. - Razem piętnaście osób. Piętnastu świadków, którzy widzieli ducha!

- Czy tych mężczyzn, tam, w posiadłości Greena, było dokładnie sześciu, panie komendancie? - zapytał z ożywieniem Jupiter. - Czy może raczej siedmiu? Bo Pete i Bob nie są co do tego zgodni.

- Nie jestem pewien - mruknął z niechęcią komendant. - O całym wydarzeniu doniosło czterech mężczyzn. Trzech z nich twierdziło, że było ich sześciu, a tylko jeden powiedział, że siedmiu. Z pozostałymi nie rozmawiałem... nie mogłem do nich dotrzeć. Sądzę, że nie chcieli

rozgłosu. Ale, tak czy owak, świadków było piętnastu czy szesnastu, a to stanowczo zbyt wielu, ażeby mogli sobie coś ubzdurać. Sam bardzo bym chciał uznać to za żart czy coś w tym rodzaju, ale po tym, co sam widziałem... jak on po prostu zniknął w grobie... No cóż, nie mogę!

Teraz samochód skręcił w zarośnięty chwastami podjazd przed rezydencją Greena. W świetle dziennym budynek wyglądał bardzo okazale, choć jedno jego skrzydło zostało już częściowo wyburzone. Dwóch policjantów trzymało straż przy drzwiach, a jakiś mężczyzna w brązowym garniturze zdawał się niecierpliwie na coś oczekiwać.

- Ciekaw jestem, co to za facet - wymamrotał komendant Reynolds, gdy wysiadali. - Prawdopodobnie jeszcze jeden reporter.

- Komendant Reynolds? - Mężczyzna w brązowym garniturze podszedł do nich czym prędzej. Miał inteligentny wyraz twarzy i mówił szybko, nader miłym dla ucha głosem. - Czy to pan jest komendantem? Czekałem tu na pana. Dlaczego ci ludzie nie pozwalają mi wejść do domu mojej klientki?

- Domu pańskiej klientki? - komendant wpatrywał się weń ze zdumieniem. - Kim pan w ogóle jest?

- Jestem Harold Carlson - odparł mężczyzna. - Właściwie jest to dom panny Lydii Green. Jestem jej adwokatem, ponadto dalekim kuzynem. Reprezentuję jej interesy. Jak tylko przeczytałem w dzisiejszej porannej gazecie o wydarzeniach ubiegłego wieczoru, przyjechałem tu wprost z San Francisco, wynająłem samochód i przyjechałem tutaj. Chcę to wszystko zbadać. Cała ta sprawa brzmi dla mnie jak jakaś fantastyczna bzdura.

- Że fantastyczna, zgoda - powiedział komendant Reynolds - ale nie sądzę, aby to była bzdura. No cóż, ogromnie się cieszę, że pan tu jest, panie Carlson. W przeciwnym razie prawdopodobnie musielibyśmy po pana posłać. Postawiłem tutaj swoich ludzi, żeby trzymali na dystans łowców sensacji, i dlatego nie chcieli pana wpuścić. Ale teraz wszyscy wejdziemy do środka i rozejrzemy się. Mam ze sobą dwóch chłopców, którzy wczoraj wieczorem wszystko tutaj widzieli, więc wskażą nam dokładnie, gdzie rozgrywały się... hm... te dziwne sceny.

Przedstawił pana Andrewsa, Boba, Pete'a i Jupitera. A potem zaprowadził ich do domu, zostawiając swoich dwóch ludzi na zewnątrz na straży. W środku, w dużych, blade oświetlonych pomieszczeniach, wciąż jeszcze panowała atmosfera niezwykłości z poprzedniej nocy. Bob i Pete pokazali komendantowi, w którym miejscu stali i gdzie po raz pierwszy ukazała się zielonkawa zjawa.

Potem Pete zaprowadził ich na piętro.

- On po prostu przesunął się tymi schodami w górę, a potem odpłynął wzdłuż hallu - powiedział. - Zanim poszliśmy jego tropem, tamci mężczyźni zbadali, czy na podłodze nie ma śladów stóp. To był pomysł Boba. Lecz kurz był nietknięty.

- Dobra robota, synu - powiedział pan Andrews i poklepał Boba po ramieniu.

- A potem duch przeszedł tym korytarzem - ciągnął Pete - i zatrzymał się przy ścianie na końcu. A później, najzwyczajniej, wtopił się w ścianę i zniknął.

- Hm - komendant Reynolds nachmurzył się, a cała reszta stała wpatrzona w ślepy mur. Harold Carlson, prawnik, bezradnie potrząsnął głową.

- Nie rozumiem tego - powiedział. - Po prostu tego nie rozumiem. Oczywiście zawsze krążyły przeróżne historie, że w tym domu straszy, ale nigdy w nie nie wierzyłem. Teraz... sam nie wiem. Po prostu nie wiem.

- Panie Carlson - zapytał komendant Reynolds. - Czy ma pan jakieś pojęcie, co się znajduje za tym murem?

Tamten zamrugał oczyma.

- Cóż... nie. Bo i co mogłoby tam być?

- Jesteśmy tu właśnie po to, żeby to odkryć - powiedział komendant. - I dlatego cieszę się, że jest pan z nami. Dzisiaj rano jeden z ludzi zatrudnionych przy rozbiórce domu pracował na drabinie, burząc od zewnątrz kawałek bocznej ściany. Okazuje się, że ten korytarz przebiega ponad dolną partią murów, która została częściowo rozebrana, a ta górna część miała być wyburzona zaraz po niej. Tak czy inaczej, coś tam zobaczył. Przerwał pracę i wezwał mnie.

- Coś zobaczył? - Pan Carlson zmarszczył brwi. - Dobry Boże, cóż on mógł tam zobaczyć?

- Nie był tego pewny - odparł bez ogródek komendant Reynolds. - Ale uważa, że za tą ślepa ścianą znajduje się jakiś sekretny pokój. A teraz, skoro pan tu jest, otworzymy go i zajrzemy do środka.

Harold Carlson potarł czoło i spojrzał na pana Andrewsa, który zajęty był robieniem notatek.

- Sekretny pokój? - powiedział, całkowicie oszołomiony. - W żadnej z rodzinnych historii dotyczących tego domu nie ma ani jednej wzmianki o jakimś sekretnym pomieszczeniu.

Pete, Bob i Jupiter z najwyższym trudem opanowali podniecenie, widząc, iż po schodach zbiega dwóch policjantów, jeden z siekierą, a drugi z łomem.

- Dobra, chłopcy, zróbcie otwór w tej ścianie - rozkazał komendant Reynolds. A

zwracając się do pani Carlsona, dodał: - Sądzę, że pan się na to zgadza, nieprawdaż?

- Oczywiście, komendancie - odparł przybysz z San Francisco. - I tak ten dom będzie przecież zburzony.

Dwaj policjanci dziarsko zaatakowali ścianę. Wkrótce wybili w niej otwór. Stało się oczywiste, że za nim rozciąga się jakaś znaczna przestrzeń, całkowicie jednak pogrążona w mroku. Kiedy otwór był na tyle duży, że dało się przezeń wcisnąć do środka, komendant Reynolds podszedł i wsunął tam latarkę.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął, po czym przedostał się do sekretnego pomieszczenia. Pan Carlson i ojciec Boba pospieszyli za nim, tak że chłopcy niebawem mogli już tylko słyszeć ich podniecone, skonsternowane okrzyki.

Jupiter również chyłkiem prześliznął się, przez otwór, a w jego ślady poszli Bob i Pete. Znaleźli się teraz w małym pokoju, mniej więcej na sześć stóp szerokim i na osiem długim. Nieco słonecznego światła przedostawało się przez szparę w zewnętrznym murze, który naruszyli zapewne rozbierający dom robotnicy.

Nie było jednak nic dziwnego w tym, że mężczyźni zachowywali się tak nerwowo.

Bowiem jedyny mebel w tym pokoju stanowiła trumna.

Spoczywała na dwóch podpórkach wykonanych z heblowanego drewna. Cała trumna była na zewnątrz wspaniale rzeźbiona i polerowana, lecz głównie jej zawartość przykuwała zgromadzonych.

Trzej chłopcy podeszli cicho i również zerknęli do trumny. I wszystkim trzem aż zaparło dech w piersi.

W trumnie znajdował się szkielet. Nie widzieli go zbyt dokładnie, gdyż przysłonięty był wspaniałymi szatami, częściowo już zniszczonymi za sprawą upływu lat i rozkładu ciała. Lecz był to z całą pewnością szkielet.

Przez dobrą chwilę wszyscy trwali w milczeniu. Potem odezwał się Harold Carlson.

- Spójrzcie! - powiedział. - Ta srebrna plakietka na trumnie! Napisano na niej: "Ukochana żona Mathiasa Greena. Niechaj spoczywa tu w pobliżu i niechaj nic nie zakłóca jej spokoju".

- Chińska żona starego Mathiasa Greena! - powiedział komendant Reynolds ochryplym głosem.

- A wszyscy byli zdania, że kiedy Mathias zmarł, ona uciekła - dodał szeptem ojciec Boba.

- Tak - przytaknął Harold Carlson. - Ale spójrzcie na to! To jest coś, co muszę zabrać dla rodziny, komendancie.

Sięgnął do trumny. Chłopcy nie widzieli, co robi, gdyż plecy dorosłych zasłaniały im widok. Ale w chwilę później pan Carlson podniósł do góry długi sznur krągłych kuleczek, które w świetle latarki komendanta nabrały dziwnie przytłumionego szarego koloru.

- To chyba muszą być te sławne Perły Duchów, które cioteczny dziadek Mathias rzekomo ukradł pewnemu chińskiemu arystokracie. To właśnie z ich powodu musiał uciekać z Chin i się ukrywać. Są niesłychanie cenne. Myśleliśmy, że przepadły na zawsze... Że kiedy stryjeczny dziadek Mathias skręcił sobie kark, jego chińska żona uciekła z perłami i wróciła na Wschód.

- A poczynając od tamtych wydarzeń, były cały czas tutaj.

- I ona również - zauważył ojciec Boba.

Rozdział 4

NIESPODZIEWANY TELEFON

Następnego dnia Pete zajęty był w Kwaterze wycinaniem z gazet artykułów i zdjęć, które z kolei Bob wklejał do dużego zeszytu. Pan Andrews nie był w stanie uczynić zbyt wiele dla zmniejszenia rozgłosu, jaki zyskało Rocky Beach w związku z opowieściami o rezydencji Greena i o zielonym duchu.

Prawdopodobnie historia z duchem nie wzbudziłaby na dłużej zainteresowania opinii publicznej. Ale gdy nastąpiło z kolei odkrycie sekretnej komory i szczątków żony Mathiasa Greena, która miała na szyi sznur słynnych pereł - niektóre z nagłówków zdawały się aż wykraczać poza pierwsze strony gazet, na których były zamieszczone.

Reporterzy grzebali teraz zapamiętałe w przeszłości i ujawniali różne wydarzenia z życia Mathiasa Greena. W ich artykułach był on dzielnym kapitanem, organizatorem handlu z Chinami, marynarzem gotowym żeglować wprost w paszczę każdego sztormu, jaki by tylko stanął mu na drodze, rzucając wyzwanie żywiołom.

Dane ujawniały, że był on osobistym przyjacielem i doradcą paru mandzurskich arystokratów i że otrzymywał od nich w podarunku przeróżne klejnoty. Ale Pereł Duchów nie dostał od nikogo. Ukradł je, a następnie czym prędzej opuścił Chiny ze swoją nowo poślubioną małżonką, by nigdy już tam nie wracać. Resztę życia spędził w odosobnieniu, w swej rezydencji.

- Wyobraźcie sobie, że wszystko to wydarzyło się właśnie tutaj, w Rocky Beach! - wykrzyknął Bob, przerywając pracę. - Wiecie, do jakiego wniosku doszli tata i komendant Reynolds?

Przerwał mu zgrzyt metalu. To ktoś przesunął w bok żelazne okratowanie nad zewnętrznym wejściem do Tunelu Drugiego. Zaraz potem dobiegł ich stłumiony odgłos pełzania - to Jupe czołgał się przez długą rurę z falistej blachy, która stanowiła ów tunel. Jeszcze później rozległo się umówione stukanie w klapę, która uniosła się do góry, by Jupiter, spocony i zdyszany, mógł wczołgać się do środka.

- Uff! - sapnął. - Ale gorąco! - A potem dodał: - Myślałem...

- Lepiej uważaj, Jupe - rzucił Pete - byś nie przesadził z tym myśleniem. Sądząc po tym, jak bardzo jesteś spocony, twoje zwoje mózgowie musiały być niezłe obciążone. Nie chcielibyśmy, żeby się przepaliły i żebyś stał się po prostu zwyczajnym facetem, takim jak my dwaj.

Bob zachichotał. W istocie Pete był bardzo dumny z umysłowych zdolności swego przyjaciela. Ale od czasu do czasu nie potrafił powstrzymać się przed sprowadzaniem Jupe'a do normalnych rozmiarów. Odbywało się to z reguły bezboleśnie, choć Jupiter Jones raczej nie grzeszył skromnością.

Jupe zmierzył Pete'a nader kwaśnym spojrzeniem.

- No i wydedukowałem - opadł na obrotowe krzesło stojące za nadpalonym biurkiem, w które wyposażone było biuro Kwatery Głównej. - Doszedłem do tego, co wydarzyło się tam, w domu Greena, wiele lat temu.

- Nie musiałeś się wysilać, Jupe - stwierdził Bob. - Mój tata powiedział mi już, do jakich wniosków doszli wspólnie z komendantem Reynoldsem.

- Postanowiłem - ciągnął Jupe, zdając się nie słyszeć Boba - że najpierw...

- Tata i komendant Reynolds są zgodni co do tego, że pani Green zmarła prawdopodobnie na jakąś chorobę - Bob nie zamierzał dopuścić go do głosu. Rzadko kiedy miewał tak poufne informacje i nie zamierzał dopuścić, by ktoś podstępnie uniemożliwił mu ich przekazanie. - Wówczas jej mąż, stary kapitan, ułożył ją w tej wspaniałej trumnie, ale nie mógł znieść myśli o całkowitym rozstaniu. Wobec tego wstawił trumnę do tego małego pokoiku w końcu korytarza i zamurował okno. Następnie pokrył tynkiem i wytapetował drzwi, tak aby nikt postronny nie zdołał odgadnąć, iż za ową ścianą kryje się sekretne pomieszczenie

Można by zatem rzec, że w ten sposób żona pozostała wraz z nim. Trudno dociec, jak długo to trwało, ale później, pewnego wieczoru, Mathias Green potknął się i spadł ze schodów.

Kiedy służący spostrzegli, że nie żyje, wpadli w panikę. Wymknęli się nocą. I albo pojechali do Chinatown w San Francisco, gdzie ukryli się u swoich krewnych, albo też wrócili Chin. Może niektórzy z nich przebywali tutaj nielegalnie. Tak czy owak, w tamtych czasach Chińczycy trzymali się zawsze razem i nie udzielali białym żadnych informacji, jeżeli tylko nikt ich do tego nie zmusił, toteż ich ucieczka była rzeczą całkiem zrozumiałą.

Jedynym członkiem rodziny okazała się bratowa pana Greena, która odziedziczyła po nim wszystko. Uzyskanych drogą spadku pieniędzy użyła w celu zakupu dużej winnicy w pobliżu San Francisco - Verdant Valley Vineyard. Za to tu nie zjawiała się nigdy. Podobnie jak i panna Lydia Green, jej córka, która jest teraz właścicielką Verdant Valley i, po śmierci swej matki, jedyną panią rezydencji Greena.

Z niewiadomych powodów przez cały czas pozwalano na to, by ten stary dom po prostu stał opuszczony. Aż w końcu w tym roku panna Green zgodziła się go sprzedać

przedsiębiorcom budowlanym.

- I kiedy zaczęli go burzyć, duch starego Mathiasa Greena bardzo się rozszłościł - włączył się Pete. - Dlatego tak zawodził, a przy tym widziano, jak wchodził do sekretnego pokoju. Składał bowiem ostatnią wizytę swej żonie. A później... No cóż, wygląda na to, że po prostu opuścił ten dom.

Jupiter wyglądał na cokolwiek poirytowanego. Do mniej więcej podobnych wniosków doszedł przecież sam. Zadowolili się jednak przybraniem pozory wyższości.

- Więc jesteś przekonany, że to był duch - zauważył. - A także, że był to duch Mathiasa Greena.

- Widzieliśmy go przecież. A ty nie - odparował Pete. - I był to najlepszy duch, jakiego tylko w życiu zdarzyło mi się widzieć.

Rzecz jasna, nigdy wcześniej nie widział żadnego ducha - przynajmniej do tej pory. Lecz nie przejmował się zbytnio tym faktem.

- Skoro to nie był duch, to w takim razie co? - zapytał Bob. - Jeśli potrafisz wymyślić jakąś inną możliwość, to komendant Reynolds prawdopodobnie przyzna ci nagrodę.

Jupiter zamrugał oczyma.

- Co masz na myśli?

- No właśnie - wtrącił się Pete, również zainteresowany tym samym. - Niby dlaczego miałby to zrobić?

- Cóż, wszyscy słyszeliśmy, jak wczoraj wieczorem przyznał się, że również widział tego ducha - odrzekł Bob. - Poza tym tata mówił, że jest zdrowo wnerwiony, bo przecież oficjalnie nie może przyznać, że istnieje coś takiego jak duchy. Toteż nie może rozkazać swoim ludziom, by spróbowali pochwycić zjawę. Ale w dalszym ciągu nie może zapomnieć, że widział go na własne oczy, a więc być może duchy istnieją naprawdę. Z pewnością byłby bardzo wdzięczny każdemu, kto potrafiłby udowodnić, że był to najprawdziwszy duch lub że to, co wszyscy tam widzieliśmy, wcale żadnym duchem nie było.

- Hm - Jupiter przybrał teraz zadowoloną minę. - Sądzę, iż moglibyśmy rozpracować przypadek zielonego ducha, traktując to po prostu jako przysługę oddaną komendantowi. A oprócz tego czuję przez skórę, że w tej historii kryje się znacznie więcej tajemnic, niż którykolwiek z nas mógłby się spodziewać.

- Chwileczkę! - wrzasnął Pete. - On wcale nas nie prosił, żebyśmy przejęli tę sprawę. A ja wcale się nie pałę do tropienia jakichś tam zielonych duchów!

Jednakże Bob podzielał zdanie Jupitera.

- Nasze zawołanie brzmi przecież "Badamy wszystko!" - przypomniał Pete'owi. - Dla

własnej satysfakcji. Chciałbym się więc dowiedzieć, czy rzeczywiście widzieliśmy ducha, czy też nie. Ale jak tu się do tego zabrać?

- Rozpatrzmy tę sprawę od początku - powiedział Jupiter. - A więc po pierwsze: Czy ubiegłej nocy naprawdę widziano ducha?

- Według gazet nie - odrzekł Bob. - Ale tata mówił, że słyszał od komendanta Reynoldsa, iż nie wpłynęły już żadne nowe doniesienia.

- Czy twój ojciec przeprowadził wywiady z ludźmi, którzy wczoraj wieczorem widzieli tę zjawę? - zapytał Boba Jupiter.

- Chodził wszędzie z komendantem Reynoldsem - odparł Bob. - Zdołali znaleźć tylko czterech spośród nich. Tego wielkiego, tego faceta z małym pieskiem i dwóch jego sąsiadów. Wszyscy mówili to samo - dokładnie to, co umieściłem w moich notatkach.

- A co z pozostałymi dwoma... albo trzema?

- Nie mogli ich znaleźć. Tata powiedział, że prawdopodobnie nie życzą sobie rozgłosu i nie chcą, by przyjaciele podśmiewali się z nich, że mają zwidy. Choć jestem pewny, że było ich trzech, a nie dwóch.

- Swoją drogą Jak do tego doszło, że ci mężczyźni wybrali się odwiedzić stary dwór Greena? - zapytał Jupe.

- Wszyscy twierdzili, że drogą nadeszło dwóch takich, którzy zaproponowali, żeby pójść i wspólnie popatrzeć na dwór w świetle księżyca, zanim zostanie zburzony. I dzięki ich namowom wszystkim wydało się to znakomitym pomysłem. Toteż poszli. Gdy byli na podjeździe, usłyszeli krzyk, a całą resztę już znasz.

- Czy przerwano rozbiórkę? - zapytał Jupiter.

- Przynajmniej tymczasowo - odparł Bob. - Komendant kazał przeszukać dom, czy nie ma tam innych sekretnych pomieszczeń, ale nie ma. Mimo to jednak zalecił go pilnować przed ciekawskimi, a tata twierdzi, że krążą pogłoski, iż cała ta umowa o rozbiórkę domu i wybudowanie nowego osiedla może upaść z powodu niezdrowej reklamy.

Jupiter przez dobrych kilka minut rozmyślał intensywnie.

- Cóż - odezwał się w końcu. - Możemy równie dobrze przegrać tę twoją taśmę, Bob. To prawie wszystko, co mamy, jeśli chodzi o ślady.

Bob włączył magnetofon. Jeszcze raz zabrzmiał im w uszach niesamowity wrzask. A potem usłyszeli rozmowę mężczyzn, którzy przyłączyli się do nich owego wieczoru. Słuchając jej, Jupiter zmarszczył brwi.

- W związku z tą taśmą nasuwa mi się pewna myśl - powiedział - ale nie mogę jej do reszty sprecyzować. Słyszałem tam szczekanie psa. Co to był za pies?

- Co za różnica, jaki to był pies? - wybuchnął Pete.

- Tu wszystko może być ważne, Pete - stwierdził wyniośle Jupiter.

- Był to mały foksterier szorstkowłosy - powiedział Bob. - Masz już jakiś pomysł, Jupe?

Jupiter był zmuszony przyznać, że nie ma. Znowu przegrali taśmę, a potem puścili ją jeszcze raz. Coś w niej niepokoiło Jupe'a, lecz nie potrafił dociec, co. W końcu wyłączyli magnetofon i kolejno zaczęli studiować wycinki z gazet.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że zielony duch wyprowadził się z miasta - powiedział w końcu z satysfakcją Pete. - Zaczęli mu burzyć dom, więc się wyniósł!

Jupe próbował właśnie wymyślić jakąś odpowiedź, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Halo? - zawołał. Wszyscy mogli słyszeć treść rozmowy dzięki podłączonemu do telefonu głośnikowi.

- Międzymiastowa - odezwał się kobiecy głos. - Mam rozmowę dla Roberta Andrewsa.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Była to pierwsza rozmowa zamiejscowa, jaką którykolwiek z nich odbierał.

- Do ciebie. Bob - Jupiter wręczył koledze słuchawkę.

- Halo - odezwał się Bob. - Tu Bob Andrews. - Jego głos, wskutek podniecenia, brzmiał cokolwiek piskliwie.

- Halo, Bob! - Był to głos jakiejś kobiety. Zapewne nie najmłodszej, gdy idzie o wiek, chociaż wypowiedane przez nią słowa rozbrzmiewały nader donośnie. - Tu Lydia Green. Dzwonię z Verdant Valley.

Lydia Green! Bratanica starego Mathiasa Greena, którego ducha - jeżeli to był duch - widzieli Bob i Pete!

- Słucham, panno Green - odrzekł Bob.

- Chcę cię prosić o pewną przysługę - powiedziała panna Green. - Czy mógłbyś wraz z twoim przyjacielem, Peterem Crenshawem, przyjechać do Verdant Valley?

- Przyjechać do Verdant Valley? - zapytał Bob, nieco oszołomiony.

- Bardzo bym chciała z wami porozmawiać - stwierdziła panna Green. - Widzieliście przedwczoraj wieczór mojego stryja... No, ducha stryja... Więc chciałabym poznać wszystkie szczegóły, porozmawiać z naocznymi świadkami. Jak wyglądał, co robił, w ogóle wszystko. Bo widzisz... - tu głos jej załamał się na chwilę. - Bo widzisz, ten duch przeniósł się do Verdant Valley. Ubiegłej nocy widziałam go... w moim pokoju...

Rozdział 5

DUCH ZJAWIA SIĘ PONOWNIE

Bob spojrział na Jupitera. Jupe kiwnął potakująco głową.

- Cóż, oczywiście, panno Green - powiedział Bob do telefonu. - Sądzę, że Pete i ja będziemy mogli przyjechać. To znaczy, jeśli nasze rodziny się zgodzą.

- Och, jakże się cieszę! - wydawało się, że panna Green westchnęła z ulgą. - Rzecz jasna, wpierym zadzwoniłam do waszych domów, a wasze mamy powiedziały, że nie mają nic przeciwko temu. Verdant Valley to bardzo spokojne miejsce i jest tu ze mną mój stryjeczny wnuk, Charles Chang Green, który dotrzyma wam towarzystwa. Większość swego życia spędził w Chinach.

Pozostałą część rozmowy wypełniły ustalenia. Bob i Pete mieli wsiąść w odrzutowiec lecący do San Francisco o szóstej po południu, a ona pośle po nich kogoś na lotnisko i każe zabrać do Verdant Valley. Potem jeszcze raz im podziękowała i odłożyła słuchawkę.

- Hurra! - wykrzyknął Bob. - Ona chce wszystko wiedzieć od naocznych świadków, a więc dzięki temu czeka nas całkiem miła wycieczka! - I nagie uświadomił sobie pewną rzecz: - Ale przecież ona nie zaprosiła ciebie, Jupe!

Jeżeli nawet Jupe był rozczarowany, to robił, co mógł, żeby to jakoś ukryć.

- To dlatego, że nie widziałem ducha - powiedział. - A wy dwaj widzieliście. Zresztą i tak nie mógłbym się z wami wybrać, ponieważ wuj Tytus i ciotka Matylda wybierają się jutro do San Diego dużą ciężarówką, żeby kupić trochę rzeczy z demobilu marynarki, więc muszę zostać i przypilnować interesu.

- Jesteśmy przecież paczką - zaproponował Pete. - Nie znoszę wyjazdów bez ciebie Jupe. A zwłaszcza tam - dodał - gdzie w pobliżu czai się jakiś duch.

Jupiter uszczypnął się w wargę.

- Może to właśnie szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział. - Jeśli ducha widziano ostatnio w Verdant Valley, wy dwaj możecie przeprowadzić tam śledztwo dla komendanta Reynoldsa. W tym samym czasie ja pójdę za tropem, jaki uda mi się tu znaleźć. Zaletą funkcjonowania zespołu detektywów jest to, że możemy równocześnie prowadzić dwa, a nawet trzy różne wątki śledztwa.

I na tym poprzestali. W końcu to, o czym mówił Jupe, miało jakiś sens. Wkrótce Pete i Bob udali się do domów, ażeby się spakować. Matki przygotowały im walizki, a chłopcy pamiętali, by umieścić tam jeszcze latarki i sprawdzić, czy każdy z nich ma swój specjalny

kawałek kredy - zielonej w przypadku Boba i niebieskiej, gdy szło o Pete'a - by mogli stawiać znaki firmy "Trzej Detektywi", jeżeli tylko okaże się to konieczne.

Pani Andrews zawiozła ich na ruchliwe, nowoczesne lotnisko międzynarodowe w Los Angeles, a Jupiter również się tam udał.

- Zadzwoń do mnie, gdybyście coś odkryli - rozkazał Bobowi. - Mamy trochę zaoszczędzonych pieniędzy i możemy płacić za rozmowy. Jeżeli duch naprawdę tam jest, pomyślę o jakimś sposobie, żeby do was dołączyć.

Ostatnie słowa pani Andrews, skierowane do Boba, brzmiały:

- No i pamiętaj o dobrych manierach, Robercie. A jeśli będziesz mógł powiedzieć panie Green cokolwiek, co by jej w czymś mogło pomóc, będę bardzo rada, choć muszę przyznać, że cała ta sprawa niezbyt mi się podoba. Nawet twój tata mówi, że uważa, iż kryje się w niej znacznie więcej rzeczy niepojętych, niż z pozoru mogłoby się wydawać. Ale panna Green cieszy się świetną reputacją, wiadomo też, że jej winnica Verdant Valley jest dobrze prowadzona. Ma tam również tłocznię i wyciska z winogron moszcz na miejscu. Zdaje mi się, że cała ta posiadłość nosi nazwę "Trzy V". Panna Green powiedziała, że hodują także konie, toteż obaj wraz z jej stryjecznym wnukiem, o którym wspomniała, będziecie mogli spędzić trochę czasu w siodle. Powinniście się więc nieźle bawić.

W kilka minut później znajdowali się już w wielkim odrzutowcu, który wzbił się w powietrze podejmując swój rejs na północ. Podróż trwała zaledwie godzinę, co nie starczyło im nawet na aklimatyzację, zwłaszcza że znaczną część czasu spędzili jedząc obiad podany na plastikowych tackach.

Po obiedzie zajęli się znów obserwowaniem ziemi, która przesuwała się pod nimi w dole, aż w końcu samolot zaczął schodzić do lądowania na lotnisku w San Francisco.

Czekał tam na nich chłopiec, niemal tak wysoki jak Pete, lecz nieco szerszy w ramionach, który podszedł do nich i przywitał się. Był przystojny i wyglądał bardzo po amerykańsku, jeśli nie liczyć cokolwiek skośnych, orientalnych oczu.

Przedstawił się jako Charles Green, znany też jako Chang. Powiedział im, że w jednej czwartej jest Chińczykiem i że przez niemal całe życie mieszkał w Hongkongu. Następnie pomógł im odebrać walizki z bagażowni. Kiedy już mieli je w ręku, Chang Green przeprowadził ich przez ruchliwą ulicę na wielki parking samochodowy.

Czekała tam na nich mała osobowa furgonetka, a za kierownicą siedział młody mężczyzna, który wyglądał na Meksykanina.

- Pedro, to są nasi goście, Pete Crenshaw i Bob Andrews. Wracamy prosto do Verdant Valley. Jedli już w samolocie, więc nie musimy się zatrzymywać.

- Si, senior Chang - odparł Pedro. Złapał walizki chłopców, załadował na tył furgonetki i zajął miejsce za kierownicą. Trzej chłopcy usiedli tuż za nim, jeden obok drugiego, a Pedro wrzucił bieg i ruszyli.

W czasie jazdy Pete i Bob usiłowali rozmawiać, zadawać rozliczne pytania i rozglądać się dokoła, wszystko równocześnie. Ku swojemu rozczarowaniu nie wjechali jednak do centrum San Francisco, mknąc jedynie ulicami przedmieść, a następnie sunąc górską, dość pustą autostradą.

- Jedziemy do Verdant Valley, gdzie moja czcigodna ciotka prowadzi winnicę "Trzy V" - powiedział Chang. - Właściwie ciotka twierdzi, że to ja jestem prawowitym właścicielem winnicy i winiarni, lecz ani mi się śni to wszystko jej odbierać.

Po tym stwierdzeniu Pete i Bob spojrzeli na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Czekali, żeby im to wyjaśnił, co też zrobił w czasie dalszej jazdy.

Okazało się, że Chang jest w istocie prawnikiem starego Mathiasa Greena. Mathias Green ożenił się z chińska księżniczką, której szkielet chłopcy pomogli odnaleźć, jego pierwsza żona towarzyszyła mu we wszystkich podróżach, lecz zmarła na febrę w czasie jednej z wypraw na Wschód, osierociwszy małego synka, Eliję.

Nie będąc w stanie zaopiekować się chłopcem, Mathias umieścił go w amerykańskiej szkole misyjnej w Hongkongu, by tam go wychowano i dano mu odpowiednie wykształcenie. Wkrótce potem Mathias wpakował się w kłopoty z racji nielegalnego wejścia w posiadanie Perł Duchów. Wtedy to poślubił owa piękną młodą chińską księżniczkę, a następnie czym prędzej powrócił do Ameryki, zostawiając jednak syna nadal w Hongkongu.

Elija Green, którego ojciec nigdy nie próbował ściągnąć do siebie, wyrósł i został z czasem amerykańskim lekarzem-misjonarzem w Chinach, gdzie poślubił Chinkę. Kiedy oboje zmarli na żółtą febrę, ich syn, Thomas, trafił do amerykańskiej szkoły misyjnej. Thomas, ojciec Changa, nic nie wiedział o swoich amerykańskich krewnych, gdyż jego ojciec wzdragał się wspominać o Mathiasie Greenie. On również spędził całe życie w Chinach, pracując jako lekarz. Ożenił się z córką angielskiego misjonarza i był z nią bardzo szczęśliwy, aż do chwili, gdy powódź na Żółtej Rzece uniosła ich łódkę, tak że oboje znaleźli śmierć pod falami.

Powiedziawszy to, Chang zamilkł, a Pete i Bob spostrzegli, że z trudem przetyka ślinę.

- To były trudne chwile, tam, w Chinach - dodał jeszcze. - Byłem wtedy małym dzieckiem. Pewna chińska rodzina wyratowała mnie z powodzi i zatrzymała u siebie na parę lat. Później moi opiekunowie dowiedzieli się, iż moje życie jest w niebezpieczeństwie, gdyż

jestem Amerykaninem, i przedostali się ze mną do Hongkongu, gdzie było bezpieczniej.

Nie znałem wówczas swego prawdziwego nazwiska i przez kilka lat wyrastałem w szkole misyjnej, dokładnie tak jak mój ojciec i dziadek. Kiedyś jeden z mych nauczycieli, gdy podałem mu imiona ojca oraz matki, które zdołałem zachować w pamięci, przejrzał stare archiwa i powiedział mi, że moje prawdziwe nazwisko brzmi Green. Nawiązał kontakt z ciotką Lydią, a ona posłała po mnie.

Od tamtej chwili mieszkam wraz z nią. Była dla mnie zawsze bardzo dobra, więc chciałem jej jakoś dopomóc, zwłaszcza teraz, gdy widzę, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Wuj Harold także próbuje jej pomóc, ale i on nie ma szczególnych powodów do radości. W dodatku wszystkie te historie o pojawieniu się ducha mojego pradziadka sprawiły, że sytuacja znacznie się pogorszyła. Nie mogę wam jeszcze wszystkiego wyjaśnić, bo wiele w tym wszystkim jest rzeczy, których sam nie rozumiem, lecz może wy połapiecie się w nich na miejscu.

Bob chciał go o coś zapytać, lecz nie mógł sobie przypomnieć, o co właściwie mu szło. Przeżył ekscytujący dzień i jakże niezwykłą podróż, a teraz pęd małego samochodu podział nań kojąco. Powieki zaczęły mu dziwnie ciężać i niebawem zasnął.

Przebudził się gwałtownie, gdy tylko dotarli na miejsce. Słońce zaszło za wysokie pasmo wzgórz. Znajdowali się przed dużym starym domem, zbudowanym z kamienia i drewna, który stał na niewielkiej równinie, za którą piętrzył się górski grzbiet. W obie strony rozciągała się długa wąska dolina. Niewiele tu mógł zobaczyć, albowiem zapadł już gęsty mrok, niemniej spostrzegł coś, co wyglądało na długie, wielomilowe pasy uprawnej ziemi, porośniętej rzędami małych krzaczków, bez wątplenia winorośli.

- Obudź się! - potrząsnął nim Pete. - Już dojechaliśmy.

Bob stłumił ziewanie i począł z wolna przychodzić do siebie. Wygramolił się z samochodu. Chang poprowadził ich po wysokich drewnianych schodach na ganek starego domu.

- To właśnie Zielony Dom - poinformował ich. - Bo Verdant, jak zapewne wiecie, oznacza zielony. Moja ciotka wybrała tę nazwę dla winnicy i domu, jako że i my również nazywamy się Green. A teraz poznacie i ciotkę. Wiem, że oczekuje was bardzo niecierpliwie.

Weszli do dużego hallu wyłożonego boazerią z sekwojowych desek, a z pokoju obok wyszła im na spotkanie wysoka, dystygowana kobieta o subtelnych rysach twarzy.

- Dobry wieczór, chłopcy - odezwała się do nich. - Tak się cieszę, że przyjechaliście. Mieliście dobrą podróż?

Zapewnili ją, że tak, a ona poprowadziła ich do jadalni.

- Wiem, że pewnie jesteście głodni - powiedziała. - Chociaż zapewne jedliście już wcześniej. Zostawię was więc, abyście coś przekąsili i zawarli bliższą znajomość z Changiem. Porozmawiamy jutro. Dzisiejszy dzień był bardzo pracowity i pełen kłopotów, toteż jestem cokolwiek zmęczona. Położę się wcześniej spać.

Uderzyła w mały chiński gong z brązu i do pokoju weszła stara Chinka.

- Możesz już podawać kolację. Li - powiedziała panna Green.

- Chang zapewne również chętnie zje następny posiłek.

- Wszyscy chłopcy, wszyscy być głodni - stwierdziła pomarszczona staruszka. - ja ich dobrze karmić.

Wybiegła z pokoju. Tymczasem do środka wszedł jakiś mężczyzna. Bob i Pete rozpoznali w nim Harolda Carlsona, którego widzieli dzień wcześniej w Rocky Beach, kiedy odkryto szkielet w sekretnym pokoju. Carlson sprawiał wrażenie zmartwionego.

- Cześć, chłopcy - rzucił dźwięcznym, przyjemnym głosem.

- Wczoraj, gdy poznaliśmy się w tak niezwykłych okolicznościach, nawet mi się nie śniło, że wkrótce spotkamy się tutaj. Ale... - urwał potrząsnął głową i westchnął - szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Podobnie zresztą jak i inni.

- Dobranoc, chłopcy - powiedziała panna Green. - Idę na górę do łóżka. Haroldzie, pomożesz mi?

- Oczywiście, ciociu Lydio. - Mężczyzna lekko ujął pannę Green pod ramię, wyszedł z nią z pokoju i wkroczył na schody. Chang zapalił światło.

- Tutaj, w dolinie, zmierzch zapada niezwykle szybko - powiedział. - Na zewnątrz jest już praktycznie noc. Cóż, zjedzmy kolację, a ja postaram się opowiedzieć wam trochę więcej o nas. A może chcielibyście o coś mnie zapytać?

- Nie ma czasu na gadać, gadać, gadać! - wykrzyknęła Chinka Li, wtaczając do pokoju wózek z kolacją. - Teraz czas chłopcy jeść. Jeść złobić się duży. Przyjść i siadać.

Ustawiła na stole półmisek z zimną wołowiną, talerze z chlebem i piklami, sałatkę z ziemniaków i inne dania. Bob nagle zdał sobie sprawę, że umiera z głodu. Wydawało mu się, że posiłek na pokładzie samolotu miał miejsce już bardzo dawno temu, a ponadto porcje były tam niezwykle skąpe.

Toteż ruszył do stołu wraz z pozostałymi.

Lecz nie dane im było zabrać się do jedzenia.

Bowiem gdy tylko poczęli zajmować miejsca, dobiegł ich z góry rozzwierający krzyk. Po nim nastąpiła złowieszcza cisza.

- To ciotka Lydia! - krzyknął Chang, zrywając się z miejsca. - Coś musiało się stać!

Pognał ku schodom. Bob i Pete odruchowo podążyli za nim, podobnie zresztą jak Li i paru innych służących, którzy, zda się, wyrosli nagle spod ziemi.

Chang wbiegł na schody, a później popędził korytarzem. Drzwi w końcu korytarza stały otworem, a światło lampy pozwoliło chłopcom ujrzeć Harolda Carlsona, który pochylał się nad panną Green leżącą na łóżku. Rozcierał jej nadgarstki i przemawiał do niej zaniepokojonym głosem.

- Ciociu Lydio - mówił. - Ciociu Lydio, słyszysz mnie? - Nagle ujrzał ich wszystkich. - Li! - wykrzyknął. - Przynieś pani sole trzeźwiące!

Stara Chinka popędziła do łazienki i wróciła z małą buteleczką. Podsunęła ją pod nozdrza panny Green, gdy tymczasem pozostali tłoczyli się przy drzwiach. Po chwili panna Green wstrząsnęła lekko głową i otworzyła oczy.

- Zachowałam się niemądrze, prawda? - wyszeptała. - Zemdlałam? No tak, krzyknęłam i zemdlałam. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu.

- Ale co się stało, ciociu Lydio? - zapytał niepokojem Chang. - Dlaczego krzyczałaś?

- Bo znowu zobaczyłam ducha - powiedziała panna Green, usiłując zapanować nad swym głosem. - Kiedy powiedziałam już Haroldowi dobranoc i weszłam do swojego pokoju, nim jeszcze zapaliłam światło, spojrzałam w kierunku tej niszy. - Wskazała na niewielką niszę w pobliżu okien. - A duch tam stał, wyraźny niczym za dnia. Spojrzał na mnie potwornymi płonącymi oczyma. Miał na sobie zielone szaty, dokładnie takie, jakie zwykł był nosić stryj Mathias, dlatego jestem pewna, że to był właśnie on, choć jego twarz miała kontury mgliste i rozmazane, z wyjątkiem płomiennych oczu. - Jej głos przemienił się w szept. - jest na mnie zły. Wiem, że tak. Widzicie, wiele lat temu moja matka obiecała mu, że po jego śmierci rezydencja w Rocky Beach zostanie zamknięta i nigdy więcej nikt nie zajrzy do środka. Złożyła solenną przysięgę, że ani dom, ani działka, na której jest zbudowany, nie zostaną sprzedane, tak aby nic nie zakłócało panującego tam spokoju. A ja złamałam tę obietnicę. Zgodziłam się sprzedać dom i oto teraz zakłócono spoczynek zwłokom ukochanej żony stryja Mathiasa. Dlatego właśnie on... jest na mnie taki zły!

Rozdział 6

ZASKAKUJĄCE WYDARZENIA

Kiedy Pete, Bob i Chang zasiedli w końcu do kolacji, nie mogli się powstrzymać od ożywionej rozmowy.

Li, która była chyba zarówno kucharką, jak i gospodynią, położyła pannę Green do łóżka i dała jej jakiś napój uspokajający. A gdy już służba odeszła do swoich zajęć z surowym pouczeniem, by nie wspominać nic na temat tego, co się wydarzyło - rzecz, która z całą pewnością nie miała zostać spełniona - chłopcy wrócili do jadalni.

Pan Carlson, który wyglądał na bardzo zdenerwowanego, przyłączył się do nich.

- Czy widział pan ducha? - zapytał Pete.

Harold Carlson potrząsnął przecząco głową.

- Odprowadziłem ciotkę Lydię do pokoju - powiedział. - Było ciemno, a ona weszła do środka sama. W chwili kiedy się odwracałem, krzyknęła. Drzwi były częściowo otwarte, więc kiedy zawróciłem, ujrzałem zapalające się światło. Z pewnością trzymała palec na przycisku i kiedy zobaczyła - cokolwiek to było - odruchowo wcisnęła taster. To chyba oczywiste, że gdy zapłonęło już jasne światło, niczego nie było widać, a przynajmniej ja niczego tam nie spostrzegłem. Przerażona ciotka podniosła dłoń do ust. Później, kiedy już wpadłem do pokoju, nogi się pod nią ugięły, zemdląła, a ja pochwyciłem ją w samą porę. Kiedy przyszliście, złożyłem ją właśnie na łóżku i zacząłem ją cucić, rozcierając nadgarstki.

Zmartwiony potarł czoło.

- Z pewnością służba i tak wszystko rozgada - powiedział. - Nie sposób zatkać im ust. Do rana pogłoski, że widziano ducha, rozejdzie się po całej Verdant Valley.

- Martwi się pan tym, że o wszystkim mogły się dowiedzieć gazety i że wówczas sprawa nabierze rozgłosu

- Gazety wyrządziły nam już tyle szkody, ile tylko mogły - odparł Carlson. - Martwię się tylko, jakie to wywrze wrażenie na pracownikach. Sądzę, że ciotka Lydia powiedziała wam przez telefon, iż ubiegłej nocy także widziała ducha w swym pokoju?

Bob i Pete przytaknęli.

- Cóż, dwie pokojówki także go widziały - przynajmniej tak twierdzą - na zewnątrz, bo na patio, gdzie przysiadły sobie akurat na pogawędkę. Przeraził je niemal do utraty zmysłów. Sądziłem, że udało mi się je przekonać, iż uległy złudzeniu, lecz chyba skutek był całkiem odwrotny, gdyż dzisiaj rano w całej dolinie krążyła już pogłoska, iż duch

przeprowadził się tutaj z Rocky Beach. Wszyscy nasi robotnicy plotkowali o tym jak najęci.

- Uważasz zatem, że duch wystraszy robotników Czyż nie tak, wuju Haroldzie? - zapytał Chang.

- Tak! - wybuchnął Carlson. - Ten duch nas zrujnuje! Zrujnuje nas do reszty!

Później jak gdyby pożałował swojego wybuchu, gdyż jego głos stał się spokojniejszy.

- Ale to nie jest zmartwienie naszych gości. A może wy, chłopcy, chcielibyście zobaczyć perły, które wczoraj przy was odzyskałem?

Bob i Pete przytaknęli. Tam, w sekretnym pokoju dworu Creena, zdołali ledwie na nie zerknąć.

Pan Carlson wyszedł z jadalni i poprowadził ich korytarzem do małego pokoju, wyposażonego w duże biurko ze zsuwanym blatem, kilka szafek na akta, telefon i wielki staroświecki sejf.

Ukląkł i przekręcił tarczę sejfu. Po chwili wrócił do nich niosąc małe tekturowe pudełko, które umieścił na biurku i otworzył. Wyjął ze środka naszyjnik i ułożył go na zielonej wykładzinie blatu, od której wyraźnie się odcinały.

Bob i Pete pochylili się nad naszyjnikiem, a Chang przyłączył się do nich. Perły były duże, niemniej wszystkie miały nieregularny kształt i dziwnie przygaszony szary kolor. Wcale nie przypominały świetlistych, krągłych, różowobiałych pereł w małym naszyjniku, który należał do matki Boba.

- To dosyć dziwny kolor jak na perły - powiedział Pete.

- Dlatego też nazywają się Perłami Duchów - stwierdził pan Carlson. - Jak sądzę, wszystkie takie perły pochodzą z jednej maleńkiej zatoczki na Oceanie Indyjskim i teraz już się ich nie spotyka. Na Wschodzie bogaci arystokraci wysoko je sobie cenią, ale nie wiem dlaczego, gdyż nie mają one doskonałego kształtu, a ich kolor jest wyjątkowo nieatrakcyjny. Mimo wszystko ich wartość jest niezwykle wysoka. Jestem przekonany, że te oto można by sprzedać za sto tysięcy dolarów lub więcej.

- W takim razie, wuju Haroldzie - zaczął Chang - ciotka Lydia mogłaby spłacić długi i zachować winnicę wraz z tłocznia! - Po czym dodał: - Z pewnością perły należą teraz do niej.

- Jest z tym pewien kłopot - pan Carlson potrząsnął głową. - Jak wiemy, Mathias Green dał te perły swojej chińskiej żonie. Należały więc do niej, nie do niego. A więc zgodnie z prawami dziedziczenia, jeśli nadążacie za tokiem moich myśli, powinny należeć do jej najbliższego krewnego.

- Ale przecież jej rodzina wydziedziczyła ją - powiedział Chang, zdziwiony. - Oświadczyli, że nie jest już ich córką. Oprócz tego od czasów rewolucji i wojny w Chinach

jej rodzina nie daje znaku życia.

- Wiem - pan Carlson otarł czoło. - Otrzymałem jednak list od pewnego chińskiego prawnika z San Francisco, który twierdzi, że reprezentuje swego klienta, potomka siostry żony. Ostrzega mnie, bym zabezpieczył perły, ponieważ jego klient rości sobie do nich prawo. Cała sprawa musi zostać rozstrzygnięta przez sąd i mogą minąć całe lata, zanim dowiemy się, do kogo te perły należą.

Chang zmarszczył czoło. Miał chyba coś powiedzieć, gdy wtem na zewnątrz, w korytarzu, rozległy się czyjeś pospieszne kroki. Zabrzmiało mocne pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - rzekł Harold Carlson i wszyscy odwrócili się.

W drzwiach stanął jakiś gburowaty mężczyzna w średnim wieku, o ogorzalej twarzy i świdrujących oczach. Zignorowawszy chłopców, przemówił z trudem łapiąc oddech.

- Panie Carlson, widziano ducha przy tłoczni numer jeden. Widziało go trzech meksykańskich zbieraczy winogron, którzy wpadli w panikę. Lepiej niech pan tam pójdzie.

- Och, to okropne! Już idę, Jensen - westchnął pan Carlson. Pospiesznie włożył naszyjnik z powrotem do sejfu i zatrzasnął drzwiczki. Następnie, z trzema chłopcami depczącymi mu po piętach, wybiegł z domu i w ślad za Jensenem popędził do czekającego już dżipa. Wszystkim udało się jakoś weisnąć do środka. Bob usiadł Pete'owi na kolanach i mały pojazd ruszył z rykiem silnika, biorąc gwałtowny zakręt i pędząc wprosi w mroki doliny.

Bob i Pete przez cały czas zajęci byli utrzymywaniem równowagi, bowiem dżip jechał właśnie po wyboistej drodze, toteż nie widzieliby zbyt wiele nawet wówczas, gdyby nie było tak ciemno. Na szczęście jazda trwała zaledwie pięć minut. Niebawem zahamowali z poślizgiem przed niskim budynkiem, który - co mogli stwierdzić w świetle reflektorów - zbudowany był z betonu i betonowych pustaków. Wyglądał na nowy.

Wszyscy wysiedli. Powietrze było ciężkie od zapachu winogron i świeżo wyciśniętego moszczu.

- Pan Jensen jest brygadzystą grupy zajmującej się sadzeniem i zbieraniem - szepnął chłopcom Chang, kiedy już wysiadali. - Nadzoruje robotników właśnie przy tych czynnościach.

Jensen włączył reflektory dokładnie w tej samej chwili, gdy jakiś młody mężczyzna, dość niechlujnie ubrany, wychynął nagle z panujących wokół budynku ciemności.

- No, Henry - warknął doń Jensen. - Widziałeś coś po moim wyjeździe?

Młody człowiek potrząsnął głową.

- Nie, panie Jensen - powiedział. - Zupełnie nic.

- Gdzie są ci trzej zbieracze? - zapytał Jensen.

Młody mężczyzna znajdował się teraz na tyle blisko, że zobaczyli, jak rozkłada ręce.

- Kto ich tam wie? - powiedział. - Uciekli zaraz po tym, jak pan wyjechał. Biegli co sił - zachichotał - choć nigdy wcześniej nie zauważyłem, żeby im się spieszyło. Pewnie są w Verdant - wskazał w kierunku małej grupki świateł w drugim krańcu doliny - w knajpie i opowiadają wszystkim, że widzieli ducha.

- Tego właśnie chciałem uniknąć - stwierdził ponuro Jensen.

- Powinieneś był ich zatrzymać.

- Próbowałem przemówić im do rozsądku - usprawiedliwiał się młody człowiek. - Nie chcieli mnie wcale słuchać. Ze strachu pomieszało im się w głowach.

- No to będzie awantura - powiedział Harold Carlson z przygnębieniem. - A nawiasem mówiąc, co ci ludzie robili tutaj po zapadnięciu zmroku?

- Kazałem im się tu ze mną spotkać - powiedział Jensen. - To właśnie oni ponoszą główną odpowiedzialność za rozprowadanie o duchu, więc chciałem skorzystać z okazji i przykazać im, by trzymali języki za zębami, bo inaczej wyrzucę ich z roboty. Ale spóźniłem się trochę, więc kiedy na mnie czekali, musiało im się pewnie ubzdurać, że coś widzą.

- Jestem przekonany, że tak właśnie było... Wyobraźnia... Tak wiele rozprawiali o duchach, aż w końcu uwierzyli, że widzą jednego z nich.

- Wyobraźnia czy nie, źle się stało - powiedział pan Carlson.

- Może mógłby pan pójść do osady i uspokoić ich, chociaż prawdopodobnie to sprawa całkiem beznadziejna.

- Tak, proszę pana. Czy mam was wpierw zawieźć z powrotem do domu?

- Jasne... - tu Harold Carlson pacnął się dłonią w czoło i krzyknął: - Mocny Boże! Chang! Czy ja zamknąłem sejf po tym, jak włożyłem do niego perły?

- Nie wiem, wuju Haroldzie - odparł Chang. - Twoje plecy zasłaniały mi sejf. Nie widziałem.

- Ja widziałem - odezwał się Pete. Usilnie grzebał w pamięci próbując sobie przypomnieć, co faktycznie widział wówczas w biurze. - Włożył pan perły do środka... zatrzasnął pan drzwiczki i przekręcił rączkę...

- Tak, tak - przerwał mu Harold Carlson. - Ale czy przekręciłem też tarczę?

Pete zastanawiał się gorączkowo. Nie był pewny. A jednak...

- Nie, panie Carlson - powiedział w końcu. - Wydaje mi się, że nie.

- Mnie także się wydaje, że nie - jęknął Harold Carlson. - Odszedłem zostawiając sejf otwarty, a w nim Perły Duchów. Jensen, szybko, zawieź mnie czym prędzej do domu. Potem

możesz tu wrócić i zabrać chłopców.

- W porządku. Hej, Chang, weź moją latarkę - wcisnął Changowi Greenowi w rękę potężny reflektor, a następnie obaj mężczyźni wskoczyli do dżipa i odjechali z rykiem silnika.

- Tam do licha! - Bob przerwał ciszę, jaka potem nastąpiła. - Najpierw w domu. Teraz tutaj. Ale dlaczego wszyscy tak bardzo się martwią tym, że ludzie gadają, Chang?

Trzej chłopcy nieświadomie zbliżyli się do siebie, spowici w mrok i ciszę przerywaną jedynie brzęczeniem owadów.

- Dlatego, że właśnie rozpoczął się sezon winobrania - powiedział Chang. - Teraz, gdy winogrona dojrzewają, trzeba je zerwać i przewieźć do tłoczni, żeby wycisnąć z nich sok. Codziennie dojrzewają nowe grona i jeśli się ich nie zbierze, wkrótce stają się zbyt przejrzyste jak na dobre wino. Albo nawet gniją.

Do zbierania winogron potrzeba wielu ludzi, ale nie jest to praca na cały rok, mamy więc sporo robotników, którzy przyjeżdżają tutaj tylko na sezon winobrania, a potem jadą gdzie indziej. Część z nich to Meksykanie, ale cała reszta jest Amerykanami. Niektórzy pochodzą ze Wschodu, lecz w gruncie rzeczy wszyscy są biednymi, ciężko pracującymi ludźmi i wierzą w wiele przesądów.

Zbieracze stali się bardzo niespokojni od chwili, kiedy w gazetach pojawiły się pierwsze wieści o zielonym duchu z Rocky Beach. Teraz, gdy duch znajduje się już tutaj, w Verdant Valley, wielu z nich ucieknie. Porzucą pracę, a my nie będziemy mogli znaleźć innych zbieraczy. Grona zgniją na krzewach, nie będziemy w stanie wycisnąć moszczu i cały zbiór się zmarnuje. Winnica "Trzy V" straci wiele pieniędzy... I jestem pewien, że ciotka się zamartwia, bo jest winna swym wierzycielom spore sumy, toteż liczy się dla niej każdy cent.

- Do licha, to niewesołe - wtrącił dość niezręcznie Pete, pragnąc wyrazić swe współczucie. - A wszystko dlatego, że zaczęli burzyć dom twojego pradziadka i jego duch zaczął się szwendać po okolicy.

- Nie! - zaprzeczył stanowczo Chang. - Nie wierzę, żeby to był duch mojego czcigodnego pradziadka. Na pewno nie chciałby zrobić krzywdy członkom własnej rodziny. To jakiś inny duch, który szuka okazji, aby wyrządzić zło.

Mówił z takim przekonaniem, że Bob zapragnął mu uwierzyć. Ale był przecież w rezydencji Greena, widział tamtą widmową zjawę w powiewnych szatach mandaryna, obawiał się więc, że Chang może się mylić.

Chłopcy milczeli jeszcze przez chwilę, próbując zdecydować, co mają dalej robić. Pierwszy odezwał się Bob.

- Skoro widziano tutaj ducha - powiedział - musimy dobrze się rozejrzeć i sprawdzić,

czy i my go nie zobaczymy.

- No... - W głosie Pete pobrzmiwała niechęć. - Wydaje mi się, że ma to sens. Ale wolałbym, żeby był tu z nami Jupe.

- Duch nikogo jeszcze nie skrzywdził - powiedział Chang. - Tylko się pokazywał. Nie musimy się go bać. A jeśli jest to czcigodny duch mojego przodka, nie może przedsiębrać niczego na naszą szkodę. Zgadzam się. Bob. Rozejrzyjmy się wokół tłoczni i sprawdźmy, czy aby się tu nie kręci.

Poprowadził za sobą chłopców i z wolna okrążyli budynek. Musiał dobrze znać drogę, bo nie zapalał latarki, gdyż, jak powiedział, światło uniemożliwiłoby im spostrzeżenie ducha.

Wyteżali wzrok, rozglądali się, lecz niczego tu nie było widać, jedynie ciemniejszy kontur budynku na tle mroków nocy. Chang wyjaśnił im, że jest to nowa tłocznia.

- To tutaj wyspuje się dojrzałe owoce do wielkich kadzi. Duże obrotowe mieszadła rozgniatają grona i wyciskają sok, który spływa do zbiornika. Ze zbiornika przepompowywany jest do beczek i leżakuje w piwnicach. Są to właściwie groty wykute w pobliskim zboczu, a panujące w nich temperatura i wilgotność nie zmieniają się przez cały rok.

Bob słuchał tylko jednym uchem. Wyteżał wzrok, żeby zobaczyć choć fragment czegoś, co mogłoby wyglądać jak ognista zjawa, lecz okrążyli cały budynek i nie spostrzegli niczego.

- Może powinniśmy wejść do środka - zaproponował w końcu Chang. - Pokażę wam całą maszynię i zbiorniki. Wszystko to jest zupełnie nowe. Zostało wybudowane w zeszłym roku. Wuj Harold kupił wtedy wiele nowych urządzeń, dlatego też mamy spore długi. Oto dlatego moja czcigodna ciotka tak się martwi. Boi się, że nie będzie mogła zwrócić forsy.

Ale w tej samej chwili zobaczyli światła samochodu, a w moment później dziup zatrzymał się tuż koło nich.

- Wskakujcie, chłopcy - powiedział Jensen. - Zawiozę was z powrotem do domu. Wpierw jednak muszę coś załatwić w osadzie. Spróbuję odnaleźć tych trzech zbieraczy, którzy twierdzą, że widzieli ducha, sprawić, żeby trzymali buzie na kłódki i naprawili szkody, jakie wyrządzili.

- Dziękujemy, panie Jensen - powiedział Chang. - Możemy pójść pieszo. To przecież niewiele ponad milę. Oto pańska latarka. Księżyc już wzeszedł i na pewno nie zabłądzimy.

- Jak tam chcecie - wruszył ramionami. - Mam tylko nadzieję, że ci trzej nie wpędzili w panikę wszystkich naszych zbieraczy, bo w takim razie jutro ani tuzin chłopca nie pojawi się w pracy.

Dżip ruszył z rykiem silnika w dół doliny, w kierunku małego skupiska świateł należących z całą pewnością do osady, o której mówił Jensen. Pete zwrócił się do Boba:

- Nie masz nic przeciwko wracaniu na piechotę, Bob? - zapytał.

- Moja noga jest już w porządku - odrzekł mu tamten. I wyjaśnił Changowi: - Kiedy byłem małym dzieckiem, stoczyłem się ze wzgórza i złamałem nogę aż w kilkunastu miejscach. Do ubiegłego tygodnia musiałem nosić szynę. Ale doktor Alvarez zdjął ją i powiedział, że teraz z moją nogą jest już wszystko w porządku i że trochę ćwiczeń dobrze jej zrobi.

- Nie będziemy się spieszyć - powiedział Chang i zwolna ruszyli zakurzoną drogą, oświetloną blaskiem księżyca, wdychając docierający zewsząd aromat dojrzałych winogron. Chang milczał przez chwilę.

- Wybaczcie mi - powiedział w końcu. - Właśnie rozmyślałem nad tym, jaką klęską będzie ta sprawa z duchem dla Verdant Valley. Wszyscy nasi zbieracze zdezerterują, tak jak już mówiłem. Zbiory przepadną. Stracimy bardzo dużo pieniędzy. Ciocia Lydia nie będzie w stanie spłacić weksli, które podpisała, i zabiorą jej Verdant Valley. Dlatego właśnie milczałem. Martwię się z jej powodu. Wiem, ile dla niej znaczą ta winnica i tłocznie. W końcu to przecież jej matka, a potem ona sama spędziły całe życie budując to wszystko. Gdyby teraz straciła winnicę, załamałaby się do reszty. Jest jeszcze jedna nadzieja. Jeżeli uda nam się dowieść, że mamy prawo do Pereł Duchów i że nie należą one do nikogo innego, to będzie je mogła sprzedać za wielką sumę i spłacić długi.

- Naprawdę mam nadzieję, że to się wam uda - powiedział Pete. Ale jak sądzisz, Chang? Czy to, co widzieliśmy, to był naprawdę duch twojego pradziadka, czy też co innego?

- Nie wiem - odparł chłopiec powoli. - Nie mogę uwierzyć, żeby duch mojego pradziadka chciał wyrządzić nam krzywdę, choć pradziadek za życia był ponoć człowiekiem bardzo gwałtownym. W Chinach nauczyłem się wierzyć w duchy, dobre i złe. Sądzę, że tutaj działa jakiś zły duch, który wcale nie jest duchem mojego pradziadka. Tak, to zły duch!

Dotarli do domu. W kilku oknach paliło się światło, ale wszędzie panował spokój. Wspięli się po schodach na górę. Chang zdawał się zdziwiony, że duży salon jest pusty.

- Służba poszła już spać - powiedział - ale byłem pewny, że zastanę tutaj wuja Harolda. Powiedział, że chciałby wam zadać kilka pytań. Może jest w swoim biurze.

Poprowadził ich korytarzem do biura. Jednakże i tu drzwi były zamknięte. Chang zapukał. Jediną odpowiedzią, jaką uzyskał, był odgłos uderzenia i stłumiony jęk.

Chang, mocno zaniepokojony, gwałtownie pchnął drzwi. Wszyscy trzej chłopcy wytrzeszczyli oczy widząc Harolda Carlsona leżącego na podłodze, z przegubami rąk i

kostkami nóg mocno oplatanymi sznurem, jego głowę okrywała torba z brązowego papieru.

- Wuju Haroldzie! - wrzasnął Chang. Wpadł do środka, a tuż za nim Bob i Pete, i zerwał z głowy Carlsona papierowy kaptur. Oczy Harolda Carlsona omal nie wyszły z orbit, gdy usiłował wymówić jakieś słowa poprzez grubego knebel, który wypełniał mu usta.

- Nic nie mów, najpierw cię oswobodzimy - rzucił szybko Chang.

Wyciągnął scyzoryk i rozciął knebel zrobiony z barwnej chustki. Potem, gdy Harold Carlson z trudem łapał powietrze, uwolnił mu nadgarstki i nogi. Pan Carlson usiadł, rozcierając sobie przeguby.

- Co się stało? - zapytał Pete.

- Kiedy wróciłem do domu i wszedłem do biura, ktoś stał ukryty za drzwiami. Ktokolwiek to był, schwycił mnie z tyłu i trzymał, a tymczasem jakiś inny facet kneblował mnie i wiązał. Potem rzucili mnie na podłogę, wiążąc za plecami ręce, spętali nogi i nasadzili mi na głowę tę papierową torbę. Usłyszałem odgłos otwierania sejfu... Sejf!

Zdjęty nagłym niepokojem odwrócił się i podbiegł do dużej pancерnej szafy. Wszyscy widzieli, że drzwi są uchylone na cal lub dwa. Pan Carlson rozwarł je szeroko i sięgnął do środka. Jego dłoń natrafiła na pustkę.

Spojrzał na nich; poruszał bezgłośnie ustami, a twarz mu poszarzała.

- Perły Duchów! - wymówił ochrypłym głosem. - Zostały ukradzione!

Rozdział 7

JUPITER DEDUKUJE

A tymczasem Jupiter, siedząc samotnie w Rocky Beach, w saloniku domku, w którym mieszkał wraz z wujem Tytusem i ciotką Matyldą, rozmyślał nad czymś od godziny, skubiąc zarazem dolną wargę. Lecz nagle się poderwał, wrzasnął najgłośniejszym, jak tylko potrafił i zaróżowiony od wysiłku, rozsiadł się wygodnie oczekując na dalszy bieg wydarzeń.

W chwilę później na zewnątrz rozległy się odgłosy kroków. Frontowe drzwi otworzyły się z impetem i Konrad, rosy, jasnowłosy pracownik złomowiska, wsunął głowę do środka. Hans, jego brat, przebywał właśnie z Jonesami w San Diego. Konradowi aż oczy wychodziły z orbit, gdy gapił się na Jupitera.

- Kto to tak wrzeszczał, Jupe? - zapytał przejęty.

- To ja - odparł Jupiter. - A więc słyszałeś mnie?

- Jasne, że cię słyszałem! - stwierdził stanowczo Konrad. - Twoje okno jest otwarte, moje też, więc słyszałem wyraźnie. Brzmiało to tak, jakbyś usiadł na dużej pinezce albo wyrznął się w palec u nogi.

Jupiter spojrział na okno za sobą. Było otwarte na oścież. Na jego twarzy odmalowało się zniecierpliwienie.

- Czemu tak wrzeszczysz, Jupe? - dopytywał się Konrad. - Nie widzę, żeby coś ci się działo.

- Nic się nie dzieje, tylko zapomniałem, że okno jest otwarte - odrzekł na to Jupiter.

- Ale dlaczego wrzeszczysz? - nalegał Konrad.

- Ćwiczyłem głośny wrzask - odparł Jupiter.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest? - pytał Konrad. - Nie jesteś przypadkiem chory albo coś w tym rodzaju?

- Czuję się świetnie - stwierdził Jupiter. - Możesz teraz już wracać do swojego domku, nie będę dziś wieczorem nic więcej wykrzykiwał.

- To dobrze - odetchnął z ulgą Konrad. - Nieźle mnie przestraszyłeś.

Zamknął drzwi i wrócił do małego domu, który dzielił ze swoim bratem, Hansem, a który znajdował się w odległości około pięćdziesięciu jardów od domu Jonesów.

Jupiter przysiadł w miejscu, w którym dotąd stał, a jego mózg zaczął pracować na pełnych obrotach. Jakaś myśl próbowała osiągnąć w jego umyśle bardziej wyraźny kształt... myśl dotycząca zielonego ducha... lecz nie udało się jej. W końcu westchnął i dał za wygraną.

Tak czy owak, czas było iść spać.

Kiedy wstał, by udać się na górę, zastanowił się przez chwilę, co też mogą teraz porabiać Bob i Pete w Verdant Valley.

Jakby w odpowiedzi na impuls jego myśli zadzwonił telefon. Była to rozmowa na koszt odbiorcy. Jupe chętnie ją przyjął. Dzwonił Bob.

- Co się stało, Bob? - zapytał. - Widzieliście zielonego ducha?

- Nie, ale widziała go panna Green - powiedział Bob, wyraźnie podniecony. - A potem... nigdy nie zgadniesz, co się stało...

- Jesteś zdenerwowany - odrzekł mu Jupiter. - Proszę cię, opowiedz mi wszystko, co się stało, powoli i po kolei. Nie opuszczaj żadnych szczegółów.

Nie było to łatwe zadanie dla Boba, który chciał czym prędzej przejść do tego, że Perły Duchów zostały skradzione. Jednakże Jupiter już go przeszkolił, by przekazywał wszystkie fakty po kolei i nie opuszczał niczego, bo nawet najdrobniejsze szczegóły mogą okazać się czasem istotne. Toteż Bob zaczął od spotkania z Changiem Greenem i opowiedział Jupiterowi wszystko, co zapamiętał, przestrzegając starannie kolejności wydarzeń.

W końcu z ogromną ulgą dotarł do kradzieży pereł i zrelacjonował mu ją.

- Hm - mruknął Jupiter, kiedy Bob przerwał, aby zaczerpnąć tchu. - Tego się nie spodziewałem. Co się tam teraz dzieje? Czy ktoś wszczął już śledztwo?

- Pan Carlson wezwał miejscowego stróża prawa, szeryfa Bixby'ego - odrzekł Bob. - Szeryf jest już dość stary i sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co z tą sprawą począć. Ta posiadłość nie przynależy do żadnego miasta, toteż nie można wezwać policji. Tylko szeryf i jego zastępca, który w kółko powtarza: "A niech mnie licho!" Szeryf jednak ma pewną teorię. Uważa, że z powodu całego tego rozgłosu, jaki wokół pereł zrobiły gazety, przyjechali tu jacyś złodzieje z miasta i ukradli naszyjnik. Gdy zobaczyli, że pan Carlson wybiega na zewnątrz, wśliznęli się do środka przez boczne okno ganku. Znaleźli perły i właśnie szukali czegoś jeszcze, co mogłoby mieć jakąś wartość, gdy wtem pan Carlson wrócił niespodziewanie. Schwycili go, kiedy wchodził, zakneblowali usta i naciągnęli mu na głowę papierową torbę, tak że nic nie widział. Pan Carlson zauważył tylko, że jeden z nich był dość niski, ale bardzo silny. Szeryf powiada, że teraz są już prawdopodobnie w pół drogi do miasta. Zamierza więc powiadomić policję w San Francisco, ale nie sądzi, żeby to się na wiele przydało.

Jupiter skubnął wargę. Teoria szeryfa z pewnością brzmiała rozsądnie. Przy całym tym rozgłosie, jaki sobie zyskały Perły Duchów, byłoby raczej dziwne, gdyby jacyś złodzieje nie skorzystali z okazji, aby je ukraść. Pech polegał na tym, że pan Carlson, w swym

podenerwowaniu, zostawił sejf nie zamknięty i ułatwił im robotę.

A jednak Jupiter nie mógł pozbyć się natrętnej myśli, że być może istnieje jakiś związek pomiędzy zielonym duchem a kradzieżą klejnotów. Nie sposób było sobie wyobrazić, na czym on mógłby właściwie polegać, więc tylko nadaremnie łamał sobie głowę.

- Ty i Pete musicie mieć oczy otwarte - powiedział w końcu. - Naprawdę chciałbym tam z wami być - dodał z żalem - ale muszę tu zostać, bo wuja Tytusa i ciotki Matyldy nie będzie co najmniej przez jeszcze jeden dzień. Zadzwoń do mnie, jeśli wydarzy się coś nowego.

Odłożył słuchawkę. Kusiło go, żeby nie kłaść się jeszcze spać i porozmyślać trochę o doniesieniu Boba, ale w końcu zmoła go senność. Podszedł do łóżka i rzucił się na nie, by zasnąć twardym snem, pełnym rozlicznych majaków. W jednym z nich dobiegł go czyjś głos, który jak gdyby częściowo rozpoznał, nie mogąc jednak zidentyfikować do końca.

Lecz raniem następnego dnia nie mógł sobie przypomnieć, co takiego mu się śniło.

Jupiter miał nadzieję, iż w składzie złomu nastął zwykły spokojny dzień i będzie mógł pomyśleć o wszystkim, o czym mówił mu poprzedniego wieczoru Bob.

Jednakże, jak to zazwyczaj bywa, ów dzień okazał się bardzo pracowity. Jupiter musiał doglądać wszystkiego; czynił to z pomocą Konrada i nie miał ani chwili czasu na rozmyślanie. Ale około piątej ruch trochę zelżał; Jupiter podjął szybką decyzję. Przyszedł mu bowiem do głowy pewien pomysł. I to bardzo ważny.

- Konradzie - zwrócił się do swego rosłego pomocnika - przejmij kierownictwo. Zamknij interes o szóstej, bo ja muszę przeprowadzić pewne śledztwo.

- W porządku, Jupe - odparł dobrotliwie tamten. - Zrobię wszystko najlepiej, jak tylko będę umiał.

Jupiter wskoczył na rower i pognał przez miasto w kierunku lesistych wzgórz oraz niewielkiego strumyka, nad którym stała rezydencja Greena. Gdy wjechał już na podjazd, zobaczył przed sobą zaparkowany samochód policyjny. Przez okienko wozu wyjrzał policjant w mundurze. Był to jeden z tych funkcjonariuszy, których widział tutaj poprzedniego ranka.

- Zjeżdżaj, synu - powiedział nieco już znużonym tonem. - Cały dzień przeganiem stąd gapiów i łowców pamiątek.

Jupiter zsiadł z roweru i sięgnął do kieszeni.

- Dużo tu było ludzi? - zapytał.

- Od kiedy pojawił się duch - odparł policjant - musimy bez przerwy pilnować tego miejsca, żeby amatorzy pamiątek całkiem nie rozgrabili domu. A teraz zmykaj, bo jestem już bardzo zmęczony.

- Nie przyjechałem tutaj po żadne pamiątki - odparł Jupiter.

- Nie widział mnie pan wczoraj, gdy przyjechałem z komendantem Reynoldsem, a później odkryliśmy ten sekretny pokój?

Policjant przyjrzał mu się dokładnie.

- No tak, teraz, kiedy mi przypomniałeś... - zastanowił się. - Byłeś tu wczoraj z szefem.

Jupiter wyjął wizytówkę i wręczył ją policjantowi. Była to jedna ze służbowych wizytówek firmy. Widniało na niej:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Policjant uśmiechnął się pod wąsem, ale rychło spoważniał. Mimo wszystko Jupiter przyjechał tu wczoraj samochodem szefa.

- Badacie różne sprawy, co? - zapytał. - Jakies zlecenie dla komendanta?

- Prowadzę śledztwo, które z pewnością go zainteresuje, jeżeli tylko pewien mój pomysł się sprawdzi - odparł Jupiter.

Wyjaśnił policjantowi, co takiego chce zrobić, a ten pokiwał głową.

- To brzmi rozsądnie - powiedział. - Właż do środka.

Jupiter ruszył wykładaną kamiennymi płytami ścieżką ku drzwiom dworu, przyglądając się zarazem uważnie staremu domostwu. Było ono solidnie zbudowane, a mury wyburzonego częściowo skrzydła dowodziły, że ściany były tu grube.

Wszedł do środka. Nie marnował czasu na szukanie jakichś innych sekretnych pokoi ani czegoś w tym rodzaju, ponieważ komendant Reynolds oświadczył, że już przeprowadzono tutaj dokładne oględziny. Zamiast tego udał się po schodach do hallu na piętrze. Stanąwszy u szczytu schodów odwrócił się za siebie i... wrzasnął na cały głos.

Odczekał chwilę, potem zszedł na dół i wrzasnął ponownie. Później wyszedł na zewnątrz i ruszył ku czekającemu nań policjantowi.

- No i jak? - zapytał. - Słyszał mnie pan?

- Słyszałem dwa okrzyki - stwierdził policjant. - Jeden bardzo niewyraźny, a drugi trochę głośniejszy. Drzwi były przecież zamknięte.

- Tego wieczoru, kiedy ukazał się duch, drzwi też były zamknięte - powiedział Jupiter. Rozejrzał się dokoła. Obok rogu budynku znajdowała się duża kępa ozdobnych krzewów. - A niech pan posłucha teraz - i pobiegł w kierunku kępy.

Wszedł za krzaki, wychylił trochę głowę i wydał jeszcze jeden głośny okrzyk. Kiedy wrócił do samochodu, konstabl pokiwał głową.

- Teraz słyszałem całkiem dobrze - powiedział. - Głośno i wyraźnie. Tylko co ty właściwie próbujesz udowodnić?

- Próbuję wydedukować, gdzie wtedy, w chwili wrzasku, znajdował się duch - odrzekł Jupe. - Zgodnie z moimi obserwacjami musiał być wówczas na zewnątrz domu. Bo gdyby był w środku, musiałby mieć potężne płuca.

- Nie wiem, czy duchy mają płuca, czy nie - roześmiał się policjant, ale Jupiter nie zawtórował mu śmiechem.

- Właśnie o to chodzi - odrzekł, a tamten w osłupieniu podrapał się w głowę.

Ruszył w kierunku swojego roweru, lecz policjant zawołał w ślad za nim:

- Hej! Po co właściwie na tej waszej wizytówce są znaki zapytania?

Jupiter z trudem utrzymał powagę. Owe znaki zapytania zawsze intrygowały ludzi.

- Znak zapytania - powiedział, siląc się na bardzo dorosły ton - jest naszym symbolem, naszym godłem. Oznacza nie rozwiązane tajemnice, zagadki bez odpowiedzi i przeróżne sekretne sprawy, które należy wyjaśnić.

Wsiadł na rower, zostawiając za sobą wciąż jeszcze drapiącego się w ciemność policjanta, i odjechał. Udało mu się jednak minąć zaledwie kilka przecznic. Znalazł się teraz poza rozległymi gruntami otaczającymi domostwo Greena, w schludnie zabudowanej nowoczesnej dzielnicy.

Miał ze sobą wycinek z miejscowej gazety, gdzie podane były nazwiska i adresy owych czterech mężczyzn, którzy zgłosili się na policję po zobaczeniu ducha i usłyszeniu jego krzyku tego samego wieczoru, gdy Bob i Pete zwiedzali rezydencję.

Wybrał adres najbardziej odległy od starego dworu i dojechał tam dokładnie w chwili, kiedy na podjazd domu skręcił jakiś samochód. Wsiadł zeń mężczyzna. Był to jeden z owej czwórki, niejaki pan Charles Davis, który chętnie odpowiedział na wszystkie pytania Jupitera.

On i jego sąsiad z przeciwka siedzieli właśnie na patio, paląc i rozmawiając o meczu baseballu, gdy obok nich przeszli dwaj inni faceci, wołając coś w ich stronę. Nie rozpoznał ich, ale uznał, że pewnie mieszkają gdzieś w pobliżu, na tym samym osiedlu. Zaproponowali im, żeby pójść i popatrzeć, jak wygląda w świetle księżycy stary dom Greenów, dopóki jeszcze stoi, a jeden z nich, mężczyzna o niskim głosie, mówił tak przekonywająco, że Davis i

jego sąsiad przyłączyli się do nich. On sam zabrał z garażu dwie latarki i jedną z nich wręczył swojemu kompanowi.

Następnie we czterech poszli w kierunku rezydencji Greena. Po drodze zobaczyli dwóch innych mieszkańców osiedla i ten mężczyzna o grubym głosie namówił ich, aby też przyłączyli się do grupy. Sprawił, że uznali to za świetną zabawę, tę wizytę w prawdopodobnie nawiedzonym przez duchy domostwie, które niebawem ma zostać zburzone, i ze śmiechem zasugerował im, że może nawet zobaczą tam jakąś zjawę.

- Czy rzeczywiście powiedział, że może uda wam się zobaczyć ducha? - zapytał Jupiter, a pan Davis przytaknął.

- Coś w tym stylu - powiedział. - I, jak się okazało, zobaczyliśmy go. Jeśli chodzi o moje zdanie, cała ta sprawa jest mocno podejrzana.

- Nie zna pan tych dwóch pierwszych mężczyzn? - dopytywał się Jupiter.

- Sądzę, że jednego z nich chyba już widziałem - odparł pan Davis. - Ten drugi był całkiem obcy, ale sądziłem, że również mieszka gdzieś na osiedlu. Mamy tu mnóstwo sąsiadów, których w ogóle nie znamy. Większość z nas mieszka tu dopiero od niespełna roku.

- Ilu was było, kiedy doszliście do domu? - zapytał Jupiter.

- Sześciu - odrzekł pan Davis. - Chociaż ktoś tam mówił, że siedmiu. Ja wiem, że było nas tylko sześciu, kiedy szliśmy podjazdem. Rzecz jasna, ktoś tam jeszcze mógł pójść za nami z ciekawości. Kiedy usłyszeliśmy ten krzyk i zaczęliśmy penetrować dom, nikt raczej nie pomyślał o tym, żeby przeliczyć obecne tam osoby. A poza tym było ciemno i mglisto. Mój kompan i ja, i jeszcze dwóch innych, postanowiliśmy, że lepiej będzie, jeśli zawiadomimy policję. Nie wiem, co się później stało z pozostałymi. Sądzę, że po prostu chcieli uniknąć rozgłosu.

W tej chwili przez podwórko przebiegł mały szorstkowłosy terier i zaczął się łąsić do pana Davisa, ucieszony jego widokiem.

- Spokój, piesku, spokój! - roześmiał się mężczyzna i pogłaskał psa, który usiadł na trawniku, gdzie potem rozciągnął się zdyszany, patrząc na właściciela.

Jupiter przypomniał sobie z opisu Boba, że jeden z mężczyzn w dworze Greena miał ze sobą psa. Zaryzykował pytanie.

- No pewnie - odrzekł pan Davis. - Byłem tam razem z Dominem. Zawsze biorę go na wieczorny spacer, więc wziąłem go i wtedy.

Jupiter przyjrzał się psu. Pies spojrzał mu prosto w oczy. Pysk miał otwarty, dyszał, jakby się z niego śmiał, wiedząc o czymś, czego Jupiter nie mógł się nawet domyślać. Jupiter zmarszczył czoło. Znowu zaświtała mu jakaś myśl, lecz nie potrafił jej sprecyzować.

Zadał jeszcze kilka pytań, ale pan Davis nie potrafił mu powiedzieć już niczego nowego, więc Jupiter podziękował i wsiadł ponownie na rower.

Wracał do domu, teraz już powoli, pogrążony w rozmyślaniach. Kiedy dotarł wreszcie na złomowisko, zastał główną bramę zamkniętą. Słońce już zachodziło - prowadził więc swe śledztwo dłużej, niż mu się wydawało.

Zastał tylko Konrada, który - siedząc sobie wygodnie w swoim domku - jak zwykle palił fajkę.

- Cześć, Jupe - powiedział doń, kiedy Jupiter wszedł już do środka. - Wyglądasz tak, jakbyś lada chwila miał pęknąć z wysiłku od tego ciągłego myślenia.

- Konradzie - stwierdził Jupiter, tak jakby wcale nie zwrócił uwagi na jego słowa. - Wczoraj wieczorem słyszałeś, jak krzyknąłem.

- Jasne, że tak - przytaknął Konrad. - Brzmiało to mniej więcej w ten sposób, jakby ktoś osła obdzierał ze skóry, jeśli się nie obrazisz za takie porównanie.

- Chciałem, żeby to brzmiało tak, jak gdyby mnie ktoś mordował - powiedział Jupiter. - Ale nie usłyszałybyś mnie, gdyby te oba okna nie były otwarte, prawda?

- Tak mi się zdaje. A o co ci chodzi?

Twarz Jupitera zaróżowiła się wskutek nagłej emocji. Ten wrzask, który wszyscy słyszeli... i jeszcze ten pies! Pies, który sprawiał wrażenie, jak gdyby mógł mu coś powiedzieć. I nagle przypomniał sobie, że w pewnym opowiadaniu o Sherlocku Holmesie także był pewien pies, który udzielił detektywowi wielu informacji! Choć przecież wcale do niego nie przemówił!

Odwrócił się i pobiegł do swego domu. Bo nagle przyszło mu do głowy całe mnóstwo myśli i wszystkie tym razem przyoblekły się w kształty.

Policjant przed domem Greena nie mógł go usłyszeć, kiedy krzyczał tam w środku, a drzwi były zamknięte. Lecz kiedy był na zewnątrz - tak, słyszał go wyraźnie! To miało duże znaczenie!

Będąc już w domu, wyjął magnetofon i przygotował go, ażeby raz jeszcze przeagrać ów fragment taśmy, na którym zarejestrowany był krzyk, a także urywek rozmowy. Wysłuchawszy z uwagą wszystkiego, przez dobrych parę minut siedział całkiem nieruchomo.

Przypomniał sobie dokładnie wszystko, co usłyszał od Boba poprzedniego wieczoru. I wszystko pasowało! Musiało pasować!

Krzyk - ów fakt, że nikt nie był pewny, czy w domu było sześciu, czy też siedmiu mężczyzn - i jeszcze do tego pies! Teraz już wiedział, co takiego mógłby usłyszeć od psa, gdyby ten umiał i mówić. Było jeszcze na pewno wiele innych rzeczy, o których nie miał

pojęcia, lecz gdy szło o tę jedną sprawę, wszystko wydawało mu się zupełnie jasne.

W pokoju było już ciemno, ale nie chciało mu się zapalać światła. Sięgnął po słuchawkę i zamówił rozmowę z Bobem Andrewsem w Verdant Valley. Po dłuższym oczekiwaniu telefon odebrała sama panna Green.

- Czy to przyjaciel Boba, Jupiter Jones? - zapytała i wówczas wydało mu się, że drży jej głos.

- Tak, panno Green - odparł Jupiter. - Chciałbym porozmawiać z Bobem. Wydaje mi się, że wpadłem na pewien pomysł i...

Ale przerwała mu.

- Boba tutaj nie ma - powiedziała z przejęciem. - Ani jego przyjaciela Pete'a. Nie ma także mojego bratanka Changa. Wszyscy trzej... gdzieś po prostu... zniknęli!

Rozdział 8

UCIEKAJCIE!

Rano, zaraz po rozmowie telefonicznej z Jupiterem - dokładnie wtedy, gdy Jupe był tak bardzo zajęty pracą w składzie złomu - Bob wraz z Pete'em i Changiem zwiedzali Verdant Valley, objeżdżając konno całą posiadłość. Żaden z trzech chłopców nie miał w ogóle pojęcia, jak niebezpieczne i ekscytujące wydarzenia czekają ich tego dnia.

W owej chwili jednak nie planowali niczego bardziej emocjonującego niż obejrzenie jaskiń, których "Trzy V" używała jako piwnic do leżakowania moszczu. Te jaskinie, jak im wyjaśnił Chang, były właściwie starymi kopalniami, w większości już dawno temu wydrążonymi w stromym zboczu górskim na zachód od doliny.

Plan chłopców polegał głównie na tym, by większość dnia spędzić poza domem. Nie byli raczej w stanie zbadać sprawy kradzieży Perł Duchów, gdyż jeśli szeryf Bixby miał rację i padły one łupem jakichś złodziei z miasta, zarówno sprawcy przestępstwa, jak i perły znajdowały się teraz w San Francisco.

Lecz w wielkim domu roiło się od reporterów, zwabionych tutaj wieścią o pojawieniu się ducha i o kradzieży pereł. Dlatego panna Lydia Green, z którą widzieli się tylko przez chwilę, gdyż wyglądała na straszliwie zmęczoną i zabieganą, poprosiła ich, by w żaden sposób nie dawali reporterom okazji do wykrycia, iż to właśnie Pete i Bob pierwsi ujrzeli ducha w pustym domu w Rocky Beach. Obawiała się, że mogłoby to sprawić, iż dziennikarze napisaliby teraz jeszcze dłuższe i znacznie bardziej sensacyjne opowieści, roztrząsając prócz tematu ducha również i kwestię celu przybycia tutaj chłopców, jak powiedziała, ich artykuły i bez tego wyrządzą już dosyć szkody.

Toteż Bob, Pete i Chang zjedli śniadanie w kuchni i cichcem wymknęli się do stajen, gdzie osiodłali trzy konie. Większość pracy wykonał Chang, gdyż Bob i Pete mieli raczej niewielkie doświadczenie, gdy szło o obchodzenie się z końmi, odwiedzając co najwyżej niekiedy dostępne dla turystów rancho.

I oto teraz, przypiąwszy do pasków spodni latarki, zabrane z myślą o późniejszym zejściu do piwnic - czy raczej dawnych wyrobisk kopalnianych - jechali stępą przez uprawne pola, pomiędzy krzewami, na których w promieniach słońca dojrzewały fioletowe grona.

Chang był najwyraźniej ponury.

- Teraz powinno być na tych polach co najmniej stu zbieraczy - powiedział. - Powinno tu się również uwijać kilka ciężarówek, które zwoziłyby zebrane przez nich grona do tłoczni.

Ale sami popatrzcie. Widać tu zaledwie z tuzin pracujących ludzi. I tylko jedną ciężarówkę. Reszta odeszła ze strachu przed duchem. Jeśli to potrwa dłużej, ciotka Lydia i jej winnica będą zrujnowane. Ciotka nigdy już nie będzie w stanie spłacić weksli, a przecież pora ich płatności zbliża się z dnia na dzień.

Bob i Pete nie wiedzieli, w jaki sposób go rozweselić, niemniej Pete nie dawał za wygraną:

- Nasz wspólnik, Jupiter Jones, rozpracowuje teraz w Rocky Beach tajemnicę ducha. - powiedział. - Jupe to wyjątkowy mózgowiec. Jeżeli uda mu się rozwiązać tę zagadkę i jakoś uspokoić ducha, to może zbieracze wrócą.

- Musiałoby to nastąpić bardzo szybko - pokręcił głową Chang. - W przeciwnym razie ludzie pójdą sobie gdzie indziej. Dziś rano stara Li powiedziała, że to ja sprowadziłem nieszczęście na Verdant Valley. Twierdziła, że kiedy przyjechałem półtora roku temu z Hongkongu, przywiozłem ze sobą pecha i że powinienem tam wrócić.

- Co za bzdura! - stwierdził pospiesznie Bob. - Jakim to niby cudem mogłeś przywieźć pecha?

Chang potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. Ale to prawda, że odkąd tu jestem, wydarzyło się wiele nieszczęść. Pewne partie wina uległy skwaśnieniu, beczki poprzeciekały, coraz to psuły się urządzenia. Nic nie szło jak należy.

- Nie rozumiem, jak ktoś mógłby ciebie za to winić! - zdziwił się Pete.

- Może to jednak prawda - zastanawiał się Chang. - Może gdybym wrócił do Hongkongu, duch wyniosłby się stąd i szczęście znów by się uśmiechnęło do Verdant Valley? Gdybym był pewny, że tak się właśnie stanie, wyjechałbym choćby jutro. Za nic nie chciałbym przysparzać kłopotów i nieszczęść mojej czcigodnej ciotce-babce!

Chang miał tak ponurą minę, że Bob zdecydował, iż najwyższa pora zmienić temat.

- Nazywasz pannę Green swoją ciotką, a pana Carlsona swoim wujem - powiedział. - Nie potrafiłem nigdy rozgryźć tego, na czym polega wasze prawdziwe pokrewieństwo. Stary Mathias Green był przecież twoim dziadkiem...

- Moim pradiadkiem - odparł Chang. - Panna Green jest właściwie moją ciotką-babką, ale przez uprzejmość nazywam ją ciotką. Wuj Harold jest jej dalekim kuzynem. Nie znam dokładnie stopnia pokrewieństwa, ale przez grzeczność również nazywam go wujem. My troje jesteśmy jedynymi przedstawicielami tej gałęzi rodziny.

Pete spojrzął przed siebie, w dół długiej, wąskiej doliny otoczonej po obu stronach grzbietami górskimi. Jak daleko sięgał jego wzrok, wszędzie rosły krzewy winorośli.

- Więc cały ten teren należy właściwie do ciebie, Chang? - zapytał z zainteresowaniem. - To znaczy jako do jedynego bezpośredniego potomka starego Mathiasa?

- Och, nie, nie! - zaprotestował chłopiec. - Należy do ciotki Lydii. Jej matka założyła winnicę, a ciotka Lydia pracowała przez całe życie, żeby ją jakoś rozkręcić. Chce mi ją teraz przekazać, ale ja nie zgodzę się na to. Zostawi mi ją więc w testamencie. Postanowiłem, że wówczas oddam połowę wujowi Haroldowi. W końcu naharował się ciężko jako zarządca majątku ciotki Lydii, żeby winnica i tłocznie jakoś prosperowały. Tylko że - znów spochmurniał - jeśli stracimy winnicę i tłocznie, bo nie będzie pieniędzy, żeby spłacić pożyczki, wszyscy troje zostaniemy na lodzie.

Polną drogą nadjechał w ich kierunku dżip. Zatrzymali się, żeby mógł ich wyminąć. Chang dosiadał dużego karego ogiera o imieniu Heban, pełnego życia i werwy, którego cugle musiał mocno trzymać w garści. Pete jechał na młodej klaczy, Nellie, która była cokolwiek nerwowa, toteż on także musiał się mieć na baczności. Bobowi przypadła w udziale stara klacz zwana Fotelem na Biegunach, z racji lekkiego chodu i łagodnego usposobienia.

Dżip zatrzymał się. Wyjrzał z niego Jensen.

- Cześć, Chang - powiedział. - Przypuszczam, że zauważyłeś, jak niewielu zbieraczy mamy dzisiaj od rana?

Chłopiec pokiwał głową.

- Ci hultaje odwalili wczoraj wieczorem nielichy kawał roboty - ciągnął Jensen. - Za każdym razem, ilekroć tylko opowiadali o duchu, którego rzekomo widzieli, czynili go coraz większym i coraz bardziej odrażającym, aż w końcu okazało się, że zionie on płomieniami i dymem. Wystraszyli pozostałych zbieraczy jak nie wiem co. Poprosiłem o pomoc, ale obawiam się, że nie otrzymamy jej.

Potrząsnął głową.

- Jadę właśnie złożyć sprawozdanie pannie Green - powiedział. - Niedobrze to wszystko wygląda...

Odjechał z rykiem silnika. Chłopcy podjęli swą przejażdżkę, a Chang otrząsnął się jakoś z ponurego nastroju.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział.- Jeśli nic nie możemy zrobić, postarajmy się przynajmniej zabawić.

Przemierzali więc całą dolinę, zatrzymując się od czasu do czasu, ilekroć tylko Chang pokazywał im nowe tłocznie. W południe zaczął doskwierać upał, a ponadto odczuli głód. Mieli jednak ze sobą kanapki i butelki z piciem, a nadto w jukach wieźli obrok dla koni.

- Wiem, gdzie nam będzie chłodno i wygodnie - powiedział Chang. Poprowadził ich

obok budynku starej tłoczni, obecnie używanej już tylko w wyjątkowych przypadkach. Ujechali jeszcze kilkaset jardów i znaleźli się w cieniu grzbietu zachodniego zbocza doliny. Za występem skalnym odkryli mały ocieniony zakątek, gdzie zsiadli z koni, przywiązali je, po czym zadali im przywiezionego ze sobą owsa.

Następnie Chang zaprowadził ich na drugą stronę skalnego występu, gdzie stanęli przed ciężkimi drzwiami, osadzonymi w caliźnie górskiego grzbietu.

- To jest jedno z wejść do grot, gdzie leżakują beczki, albo do kopalń, o których wam opowiadałem - oznajmił Chang. Z wysiłkiem otworzył drzwi. Za nimi znajdowała się mroczna sztolnia, biegnąca gdzieś w głąb góry. - Zbadamy je, kiedy już coś przekąsimy.

Sięgnął do przełącznika za drzwiami i przekręcił go, lecz światło nie zapłonęło.

- Do licha - powiedział. - Zupełnie zapomniałem. Dynama nie są włączone. Tutaj musimy sami sobie wytwarzać elektryczność, bo dynama do poszczególnych sekcji są uruchamiane tylko wtedy, kiedy tam wewnątrz odbywają się jakieś prace. No cóż, możemy przecież użyć naszych latarek.

Odczepił własną latarkę i poświecił do środka. Pete i Bob zobaczyli długi korytarz o wykutych w skale ścianach, z drewnianymi belkami podtrzymującymi strop. Po każdej stronie korytarza znajdował się długi rząd dużych beczek, większych niż kadzie na wodę, które leżały na boku. Środkiem korytarza biegły dwie wąskie szyny, a kilka stóp od nich stał mały niski wagonik.

- Beczki można układać na tej oto platformie i przetaczać do wejścia - wyjaśnił Chang. - Jeśli chcemy przetransportować całą beczkę, ładujemy ją po prostu na ciężarówkę, która podjeżdża tyłem do wejścia. W ten sposób wcale nietrudno ładować nawet wielkie beczki. Hej, a może byśmy tak usiedli tutaj przy wejściu i zjedli, a przy okazji chwilę odpoczęli?

Pete i Bob byli zachwyceni, że mogą przysiąść, oprzeć się plecami o skałę i zabrać do lunchu. W środku było chłodno, choć już zaledwie parę stóp przed nimi panował żar popołudnia.

W trakcie posiłku mógł i patrzeć w głąb doliny. Na linii ich wzroku znajdowała się stara tłocznia, ale nikt, kto patrzyłby z dołu, nie mógłby ich dostrzec u wejścia jaskini.

Skończyli jeść i jeszcze przez dobrą chwilę gawędzili, rozkoszując się chłodem. Chang opowiadał im właśnie o swoim życiu w Hongkongu, gdzie, w przeciwieństwie do spokojnego życia w Verdant Valley, zawsze było gwarno, gdy nagle zobaczyli, jak kilka starych samochodów zatrzymuje się przed odległą o kilkaset jardów tłocznią.

Pół tuzina mężczyzn, rosnących i chyba muskularnie zbudowanych, wysiadło i

przystanęło obok. Mogło się wydawać, że na coś czekają.

Chang urwał w pół słowa i zmarszczył czoło.

- Zastanawiam się, dlaczego nie pracują w winnicy - zapytał głośno. - Dzisiaj potrzebna jest przecież każda para rąk.

W chwilę później podjechał dżip Jensena i zobaczyli, że gburowaty nadzorca wysiadł z wozu. Wszedł do starej tłoczni. Mężczyźni udali się tam w ślad za nim i drzwi się zamknęły.

- Przypuszczam, że pan Jensen będzie tam coś majstrował przy urządzeniach - wyszeptał Chang - ponieważ ta tłocznia nie była ostatnio używana. Ale cóż, to jego sprawa. Raczej za nim nie przepadam, lecz muszę przyznać, że wie, jak trzeba rozmawiać z robotnikami, chociaż czasami jest dla nich zbyt ostry.

Wsparł się na łokciu, a potem odwrócił w stronę Boba i Pete'a.

- Więc chcecie zwiedzić te kopalnie? - zapytał.

Zgodzili się i odpięli latarki od pasków. Pete wstał, lecz kiedy to zrobił, pośliznął się. Wyciągnął rękę, żeby się podeprzeć, ale nagle latarka wysunęła się mu z dłoni i upadła na skalne podłoże przy akompaniamencie odgłosu tłukącego się szkła. Kiedy ją podniósł, stwierdził, że reflektor i żarówka zostały rozbite.

- Tam do licha! - wykrzyknął, oburzony na samego siebie. - Teraz nie będę miał nawet czym poświecić!

- Wystarczą nam dwie - powiedział Chang. - Ale...

Zerknął na dżipa zaparkowanego przed tłocznią.

- Już wiem - powiedział. - Pożyczymy latarkę od pana Jensena. Tę, którą pożyczył mi wczoraj wieczorem. W ciągu dnia wozi ją w skrzynce na narzędzia, razem z innymi rupieciami. Oddamy mu ją jeszcze na długo przed zmrokiem. Podejdę tam i wezmę ją.

Lecz Pete uparł się, że skoro to on stłukł latarkę, winien teraz pojechać po inną. Chang napisał krótki liścik, ażeby Pete zostawił go w skrzynce na narzędzia, tak by Jensen wiedział, że chodzi tu tylko o pożyczkę i że latarka wróci do niego.

- Kiedy jest coś zajęty, nie cierpi, by mu przeszkadzać - wyjaśnił. - A właściwie latarka należy do ciotki Lydii, nie będzie miał więc nic przeciwko temu, żebyśmy z niej skorzystali.

Pete wsiadł na konia i ruszył truchtem przez pole w kierunku tłoczni. Już po paru minutach ściągnął cugle obok dżipa. Wierzchowiec, po krótkim odpoczynku, rwał się do biegu i Pete musiał zwracać nań baczniejszą uwagę.

Jedną ręką otworzył stojącą w dżipie skrzyneczkę i ujrzał w jej wnętrzu najrozmaitsze

narzędzia. Jednak latarki chyba tu nie było. Spostrzegł ją dopiero potem, wciśniętą głęboko w kąt, i wsunął ją za pasek. Była to duża staroświecka latarka, zrobiona z czarnego tworzywa, która nie miała ucha pasującego do sprzączki paska.

Wrzucił do środka kartkę, którą dał mu Chang, i zostawił skrzynkę otwartą, tak aby Jensen od razu pojął, w czym rzecz. Później, z niejakim trudem, ponownie dosiadł konia i ruszył truchtem ku miejscu, gdzie czekali nań Bob i Chang.

Ujechał jednak nie więcej niż sto jardów, kiedy nagle usłyszał z tyłu czyjś podniecony głos. Odwrócił się czym prędzej. Jensen stał obok dżipa i wołał coś do niego. Pete uniósł do góry latarkę, a potem wskazał na wóz, by dać mu do zrozumienia, że umieszczona tam kartka wszystko wyjaśni, i dalej zmierzał przed siebie.

W chwilę później Jensen wskoczył do dżipa i, podczas gdy reszta mężczyzn wyszła z budynku na zewnątrz, żeby się przyjrzeć tej scenie, popędził na przełaj przez pola, tropiąc Pete'a wśród krzewów winorośli.

Widać było, że chce go za wszelką cenę zatrzymać. Dziwiąc się rozdrażnieniu Jensena, Pete mocno ściągnął cugle, tak że klacz przysiadła z lekka na zadzie.

- No, spokojnie, dziewczynko, spokojnie! - powiedział łagodnym tonem.

Ale koń, widząc zbliżającego się dżipa, jął dreptać nerwowo w miejscu.

Dżip podjechał doń z rozgłośnym warkotem i zahamował ostro.

Jensen gwałtownie wypadł z wozu i podbiegł ku Pete'owi.

- Ty mały złodzieju! - wrzasnął. - Już ja ci wygarbuję skórę! Zaraz cię tu nauczę, ty...

Lecz reszty jego słów Pete już nie usłyszał.

Bo kiedy Jensen podbiegł jeszcze bliżej, nerwowa klacz, na której siedział Pete, wykonała gwałtowny skok i zanim jeszcze zdolał lepiej usadowić się w siodle, ruszyła galopem przed siebie. Sadyła teraz między krzewami winorośli, kierując się w stronę zbocza, i Pete nie mógł nic zrobić, żeby ją powstrzymać.

Ściskając boki klaczy co sił kolanami i uchwyciwszy się bezwstydnie łąku kowbojskiego siodła, Pete podjął rozpaczliwą walkę o utrzymanie się na końskim grzbiecie.

Rozdział 9

ROZPACZLIWA UCIECZKA

Klacz galopowała z głośnym tętentem kopyt między rzędami krzewów winnej latorośli, kierując się wprost ku skalistemu grzbietowi zachodniego stoku doliny. Pete, nie mogąc zrobić nic innego prócz trzymania się w siodle, zauważył nagle, iż w górę zboczem biegnie wąska, choć niezbyt stroma ścieżka.

Rozhukany koń odruchowo wybrał tę właśnie drogę i teraz galopował pod górę. Pete miał nadzieję, że wspinaczka powstrzyma nieco bieg klaczy, i tak też się stało, lecz jedynie o tyle, iż mógł się nieco lepiej usadowić i zaniechać wcześniejszych obaw, że lada moment zostanie wyrzucony z siodła.

Zaryzykował odwrócenie głowy i spojrzał wstecz. Jensen wskoczył z powrotem do dżipa i teraz gonił go. Niewielki wóz, prowadzony wpierw na chybił-trafił przez pola, zatrzymał się jednak przed wąską, biegnącą pod górę drożyną. Jensen wyskoczył zza kierownicy i pogroził Pete'owi pięścią.

Wówczas to Pete spostrzegł Boba i Chang. Gdy tylko klacz się spłoszyła, pobiegli do swoich koni, wsiedli na nie i ruszyli w pogoń. Ominęli Jensena i dżipa i pogalopowali ścieżką za Pete'em. Chang, na dużym czarnym ogierze Hebanie, jechał przodem, nieustannie przynaglając wierzchowca, i już niemal doganiał Pete'a.

Bob, na swoim wolniejszym Fotelu na Biegunach, począł zostawać w tyle.

Nagły skręt, jaki wykonała Nellie okrążając skalisty występ, omal nie wyrzucił Pete'a z siodła. Mocno schwycił się lęku i przytrzymał. Osiągnąwszy niezbyt długi odcinek równej drogi, nerwowa klacz znowu przyspieszyła biegu.

Wtedy Pete usłyszał za sobą głośny tętent kopyt. Chang, który śmiało pędził tuż za nim wąską ścieżyną, wyciągnął nagle ramię i schwycił cugle Nellie tuż u samego wędzidła. Powstrzymał Hebana, wciąż jeszcze dzierząc mocno w dłoni cugle klaczy, i zmusił ją tym samym, by zwolniła biegu. Prawie tak, jak gdyby nagle postanowiła zaprzestać ucieczki, Nellie stanęła jak wryta. Heban zatrzymał się tuż przy niej i obydwie konie stały teraz tuż obok, robiąc mokrymi od potu bokami.

- Do licha, Chang, piękne dzięki! - wykrzyknął z wdzięcznością Pete. - Ta klacz zachowywała się tak, jak gdyby chciała wlecieć ponad grzbiet wzgórza.

Chang przypatrywał mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi, Chang? Czy coś nie tak?

- Zastanawiam się tylko - rzekł Chang - dlaczego Jensen spłoszył twojego konia?

- Chyba nie zrobił tego naumyślnie - odparł Pete. - Wrzeszczał tylko na mnie. Nazwał złodziejem. I był bardzo zły.

- Kiedy go mijałem - powiedział Chang - jego twarz była wykrzywiona niczym maska złego ducha. Nie posiadał się z wściekłości. W kieszeni nosi rewolwer... zabija grzechotniki, które spotyka się czasem wśród skał... i niemal już go wyciągnął, tak jakby miał zamiar do ciebie strzelać.

- Nic tu nie rozumiem - wzruszył ramionami Pete, drapiąc się w głowę. - Dlaczego miałby się tak zdenerwować tylko z tego powodu, że pożyczyłem od niego starą latarkę?

Wyciągnął zza paska zniszczoną latarkę w obudowie z plastiku i pokazał ją swoim towarzyszom. Chang przyjrzał się jej uważnie.

- To nie jest latarka Jensena! - wykrzyknął. - A przynajmniej to nie ta, którą zazwyczaj wozi i którą pożyczał mi wczoraj wieczorem.

- Cóż, leżała w skrzynce z narzędziami - odparł Pete. - Innej nie było, więc wziąłem tę. Sam mówiłeś, że tak będzie w porządku.

- Wygląda na to, że się pomyliłem - wymamrotał Chang. - Pete, czy mógłbym obejrzeć tę latarkę?

- Ależ oczywiście. - Pete podał latarkę Changowi, a ten ważył ją przez chwilę w dłoni.

- Jest bardzo lekka - powiedział. - Wygląda na to, że nie ma w niej żadnych baterii.

- A więc wszystko na nic - stwierdził z oburzeniem Pete. - Dlaczego więc Jensen tak bardzo się wściekł z powodu bezużytecznej latarki?

- Może... - zaczął Chang. W tej samej chwili dogonił ich Bob. Nie mógł złapać tchu, lecz bardziej z racji podniecenia niż wskutek innych powodów. Jego stara klacz doszła do wniosku, że wcale nie zamierza galopować pod górę, i ograniczyła się tylko do stępa.

- Ach, jesteście! - stwierdził z ulgą. I wtedy zauważył ich miny. - Co się stało? - zapytał.

- Właśnie chcemy zobaczyć, co tak bardzo rozjuszyło Jensena - odrzekł spokojnie Chang. Odkręcił podstawę latarki. Sięgnął do środka i wydobył zwitek bibułki. Rozwinął ją, a Pete i Bob bacznie śledzili wszystkie jego ruchy. Bibułka kryła coś w środku. Uniósł ten przedmiot do góry, do światła. Przypominało to jakiś dziwny sznur.

- Perły Duchów! - wykrzyknął Pete.

- To Jensen je ukradł! - wrzasnął Bob.

Chang mocno zacisnął usta.

- Tak, to oczywiste, że Jensen je ukradł, albo, co bardziej prawdopodobne, kazał je

ukraść jakimś dwóm facetom, którzy dla niego pracują - powiedział. - Cały czas miał je ukryte w swej starej latarce, w skrzynce na narzędzia. Jakież mógłby być lepszy schowek? We wnętrzu latarki miejsca było w sam raz i nie wyglądała ona podejrzanie, szczególnie gdy leżała wśród innych rupieci. On mógł po prostu wywieźć perły z doliny i wcale przy tym nie musiał ryzykować sięgania do jakiejś innej skrytki.

- To bardzo dobry schowek - zgodził się Bob. - Ale nie mógł przewidzieć, że będziemy potrzebowali latarki.

- No nie. Nie widział nas, a nikogo innego w pobliżu nie było. Nie miał powodu sądzić, że ktoś się tu pojawi, kiedy on będzie w tłoczni - stwierdził Chang. - Zastanawiam się tylko, co on tam robił z tymi ludźmi? Może knuł coś nowego? Naprawdę, zaczynam się zastanawiać nad wieloma rzeczami. Między innymi nad tym, czy aby przypadkiem Jensen nie mógłby nam wytłumaczyć tych wszystkich naszych klęsk. Tego skwaśniałego wina i innych wydarzeń, które miały miejsce podczas ubiegłych miesięcy.

- Hej! - przerwał mu Pete. - Może lepiej byłoby wrócić z tymi perłami do domu, powiedzieć o wszystkim panu Carlsonowi i twojej ciotce, a potem wysłać szeryfa, żeby pojmał Jensena?

- To może nie być takie proste - wycedził Chang. - Jensen to niebezpieczny facet, a potrafi być bardzo brutalny i bezwzględny. Nie pozwoli się tak łatwo zdemaskować.

- A co nam może zrobić? - zapytał z niepokojem Bob.

- Myślę, że w pierw powinniśmy rozejrzeć się w okolicy - powiedział Chang i zsunął się z grzbietu Hebana. - Bob, zostań tutaj i przytrzymaj konie. Natomiast my obaj, Pete, zejdziemy ścieżką aż do miejsca, skąd będziemy mieć dobry widok na dolinę.

Oddali Bobowi cugle. Potem zeszli ścieżką do niewielkiego występu skalnego, który mógł dostarczyć im osłony.

Przywarli do ziemi i ostrożnie wyjrzeli zza skał. Teraz mogli bez przeszkód obserwować dolinę. U wylotu ścieżki, jak gdyby na straży, stali jacyś dwaj ludzie. Bob i Chang zobaczyli też dżipa, podskakującego na wybojach i pędzącego w kierunku małej osady w drugim końcu doliny. Następnie ujrzeli dwa inne samochody, wcześniej zaparkowane przy starej tłoczni, które nadjechały kołyszac się wśród rzędów winorośli. Oba zbliżyły się do ścieżki. Jeden z nich podjechał nawet kilka jardów w górę, uniemożliwiając tym samym przejazd koniom, natomiast drugi ustawił się w poprzek, tworząc tuż za nim dodatkową zaporę.

Chang westchnął głęboko.

- Jensen pojechał po konie! - stwierdził. - Nakazał swoim ludziom zablokować drogę,

tak żebyśmy nie mogli zjechać w dół i przegalopować obok nich. Bo jeśli tam zjedziemy, będziemy musieli zsiąść z koni, żeby wyminąć te wozy na ścieżce, a wtedy oni gotowi nas złapać.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ma nas już w saku? - zapytał Pete.

- Pewnie uważa, że tak. Bo nie możemy zawrócić. Gdybyśmy ruszyli naprzód, przez ten grzbiet, a żeby zjechać w dół po drugiej stronie, trafilibyśmy do Kanionu Hashknife. To taki wąwóz o bardzo stromych, poszarpanych ścianach. Z jednego końca wcale nie ma wyjścia. Za to na drugim krańcu jest ścieżka, która przemienia się potem w skalną drogę, a ta łączy się z szosą do San Francisco. Jeżeli pójdziemy tą ścieżką, Jensen z łatwością nas dopędzi. A także wyśle swych ludzi w samochodach, żeby zablokowali drugi koniec szlaku. Zamierza nas złapać i odebrać perły.

- To mu się przecież nie uda! - wykrzyknął Pete. - Nawet jeśli dostanie te perły, to i tak go sypniemy.

- Jestem pewien, że wziął to pod uwagę. - Spokojny ton głosu Changa sprawił, że Pete'a przejął dreszcz. - I zadba o to, byśmy nikomu o tym nie wspomnieli... Nigdy... Pamiętaj, że wszyscy ci ludzie to jego wspólnicy. I nikt oprócz nich nie wie, co się tu wydarzyło.

Pete zrozumiał. Z trudem przełknął ślinę.

- Chodź! - powiedział nagle Chang, pociągając go za sobą. Uśmiechnął się, a jego czarne oczy błyszczały wskutek podniecenia.

- Mam pewien pomysł! - wykrzyknął - Jensen będzie potrzebował sporo czasu, żeby dojechać do osady, zdobyć konie, a później wrócić tutaj. Sądzi, że my się nie wymkniemy. Ale my wystrychniemy go na dudka. Musimy się jednak pospieszyć.

Pobiegli z powrotem do koni. Bob czekał na nich niecierpliwie, przez cały czas tkwiąc w siodle.

- No i? - zapytał. - Co się tam dzieje?

- Jensen odciął nam drogę - wyjaśnił Pete. - Chce mieć perły z powrotem i nie dba o cenę. To jasne, że wszyscy ci faceci, których tam widzieliśmy, pracują dla niego.

- Za to ja mam pewien plan, dzięki któremu zdołamy go wykołować! - oświadczył triumfalnie Chang. - Musimy sforsować grzbiet, bo ten szlak wiedzie do przełęczy, a potem zjechać w dół, do kanionu. Ja was poprowadzę.

Skierował Hebana pod górę, a wielki ogier od razu narzucił ostre tempo. Chang starał się jechać możliwie szybko, lecz zarazem oszczędzał konie. Bob znajdował się w środku kawalkady, a Pete za nim. Nawet leciwa klacz Boba, której wcześniej nie podobał się cały ten

pośpiech, musiała posuwać się zwawo naprzód, gdyż nerwowa Nellie deptała jej po piętach.

W ciągu półgodziny dotarli do przełęczy i ujrzeni leżący poniżej kanion. Robił wrażenie dziwnie poszarpanego, wąskiego i ponurego.

Chang zatrzymał się tylko na chwilę, a potem skierował Hebana na ścieżkę wiodącą w dół. Po tej stronie grzbietu zejście było łatwiejsze, toteż wkrótce zatrzymali zdyszane wierzchowce na skalistym dnie kanionu.

- Ścieżka z Kanionu Hashknife prowadzi właśnie tam - wskazał kierunek Chang. - Zamienia się później w drogę, która, jak już powiedziałem, o kilka mil dalej łączy się z szosą do San Francisco. Jensen pewnie się spodziewa, że pojedziemy w tamtą stronę. Ale my skierujemy się dokładnie w przeciwną.

Zawrócił Hebana, a koń zaczął szukać drogi wśród głazów i stromych skalnych ścian.

- Teraz musimy wypatrywać dwóch żółtych skał, sterczących około dwudziestu stóp nad dnem kanionu - zawołał Chang. - Jedna z nich tkwi tuż powyżej drugiej.

Jechali jeszcze przez blisko dziesięć minut i rychło Pete, który miał bardzo dobry wzrok, wypatrzył obie skały.

- O, tam! - wskazał ręką przed siebie.

Chang skinął głową i zsiadł z konia dokładnie u ich stóp.

- Wy też zsiadźcie - powiedział do swych towarzyszy. Więc Pete i Bob poszli w jego ślady. A wówczas Chang zdzielił kolejno wszystkie trzy konie po zadach. Heban, spłoszony, popędził w dół kanionu, a pozostałe dwa wierzchowce za nim.

- Stąd już pójdziemy pieszo - wyjaśnił Chang. - Czasami nawet przyjdzie nam pełznąć na brzuchach. Przy ślepych końcu kanionu jest małe jezioro. Konie wyczują wodę i skierują się w tamtą stronę, żeby móc się napić. Kiedy Jensen zorientuje się, że my uciekliśmy, zawróci, aby nas odszukać, i wówczas znajdzie konie. Ale do tego czasu minie sporo godzin.

Spojrzał w górę.

- Był tu kiedyś szlak - powiedział. - Osuwające się skały zniszczyły znaczną jego część... na szczęście dla nas. Ale i tak możemy się tamtędy przedostać. Musimy tylko wspiąć się na szczyt tej pierwszej skały.

Ruszył pod górę, szukając w skalnej ścianie oparcia dla stóp. Bob podążył za nim. Pete szedł tuż za Bobem i pomagał mu, gdy tylko było to konieczne. W przeciągu kilku minut stanęli na szczycie żółtej skały. Bob i Pete zdziwili się, widząc w litym kamiennym bloku głęboki otwór. Przysłaniała go bowiem druga żółta skała, nie pozwalając dojrzeć niczego z dołu.

- Jaskinia - powiedział Chang. - Wiele lat temu pewien górnik odnalazł wewnątrz niej

bogate złoża, zaczął więc drążyć tunel wykorzystując ją jako początek sztolni. Tam właśnie się ukryjemy. Byle szybko, nim Jensen lub jego ludzie zdołają nas dostrzec.

Zanurkował w głąb lochu. Bob i Pete podążyli za nim, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd idą ani co się już wkrótce wydarzy.

Rozdział 10

SCHWYTANI!

Chang poprowadził ich do końca jaskini, która, gdy już znaleźli się w środku, wydała się całkiem duża. Wówczas latarka Changa ujawniła im początek tunelu - właściwie starego kopalnianego chodnika, wydrążonego już przed wielu laty. Stare belki nadal podpierały strop, chociaż okruchy skalne sypały się na podłoże.

- Posłuchajcie, jak to sobie wykombinowałem - powiedział Chang. - Pod tym górskim grzbietem znajduje się cała sieć kopalnianych korytarzy. Kiedy tu przyjechałem, te stare kopalnie zafascynowały mnie. Był tu taki facet, nazwiskiem Dan Duncan, mały zasuszony staruszek, który spędził całe życie na wyskrobywaniu maleńkich okruchów złota z tych opuszczonych sztolni. Znał je równie dobrze, jak wy znacie ulice w waszym rodzinnym mieście. Teraz leży chory w szpitalu, lecz nim zachorował, oprowadził mnie po wielu chodnikach. Rzecz w tym, że jeśli ktoś zna dokładnie drogę, może wyruszyć z tej oto jaskini i zawędrować aż do piwnic na wino po drugiej stronie zbrocza.

- Tam do licha! - wykrzyknął Pete. - Chcesz powiedzieć, że zawrócimy wędrując przez stare szyby, podczas gdy Jensen i jego ludzie będą nas szukać na zewnątrz?

- Właśnie - potwierdził Chang. - Wielu robotników z winnicy jest pewnie w zмовie z Jensenem. Ale w ten sposób wyjdziemy w odległości zaledwie mili od domu i znajdziemy się tam donosząc, o czym trzeba, nim którykolwiek z nich zdoła nas zatrzymać. Są tam takie dwa dość zdradliwe miejsca, gdzie tylko chłopiec lub bardzo szczupły mężczyzna może się przecisnąć, lecz gdy wypróbowałem je sześć miesięcy temu, jakoś mi się udało.

Bob przełknął ślinę. Wyglądało na to, że znajdują się teraz głęboko pod ziemią, gdyż wokół nich panowała nieprzejrzana ciemność. Wsunął dłoń do kieszeni i napotkał w niej kawałek zielonej kredy.

- Czy podczas naszej wędrowki nie powinniśmy znaczyć drogi? - zapytał. - Bo wówczas, jeżeli się zgubimy, będziemy mogli przynajmniej zawrócić.

- Nie zgubimy się - odrzekł Chang. - Natomiast gdyby Jensen odnalazł nasze znaki, wówczas bez trudu ruszyłby naszym tropem.

Zdawał się bardzo pewny siebie niemniej Bob wiedział, że trudno przewidzieć moment, w którym człowiek zabłądzi. Pete również był tego zdania.

- Słuchajcie - powiedział w końcu Pete. - Nasz umówiony znak to przecież pytajnik. A może byśmy tak oznaczyli drogę znakami zapytania, ale prócz tego rysowali też strzałki

wskazujące wszystkie możliwe kierunki? Wówczas tylko my będziemy wiedzieć na pewno, które znaki wskazują właściwą drogę. Każdy, kto szedłby za nami, straciłby wiele czasu nie mogąc rozszyfrować sensu tych oznakowań.

Chang przystał na ten pomysł.

- Tak czy inaczej - oświadczył - Jensen nie wie o istnieniu tej kopalni ani o tym, że łączy się ona z piwnicami na wino. I właściwie to macie rację, moglibyśmy się zgubić. Nie rysujmy jednak nic koło wejścia. To mogłoby nas zdradzić. Zaczniemy znaczyć drogę dopiero w głębi korytarza.

Wkroczyli w czeluście kopalni. Droga była tu wąska, a niekiedy zahaczali głowami o strop. Od czasu do czasu napotykali skrzyżowania lub odgałęzienia korytarzy, które wiele lat temu wydrążyli górnicy postępując w ślad za nikiem w skale cienką żyłką kruszcu. Bob znaczył trasę pytajnikami. Kreślił również zamasywane strzałki, wskazujące zawsze w kierunku niewłaściwych korytarzy.

Owe znaki mogły zmylić każdego nie wtajemniczonego prześladowcę.

W końcu doszli jednak do miejsca, gdzie korytarz nieomal zanikał. Lita skała stropu i podłoga zdawały się tu zwierzać, zamykając przejście. Chang krzyknął, aby się zatrzymali.

- Teraz będziemy musieli się czołgać - powiedział. - Ja pójdę pierwszy.

Wyciągnął coś zza paska i podał Pete'owi.

- To ta stara latarka z perłami - oświadczył. - Zaopiekuj się nią, Pete. Będzie tylko zawadzać, jeśli przyjdzie mi się zabrać do kopania.

- Jasne, Chang - zgodził się Pete. Wsunął za pasek spodni latarkę wraz z cenną zawartością i dopiął klamrę tak mocno, że latarka w żaden sposób nie mogła się wysliznąć. - Żałuję jednak, że nie mam prawdziwej latarki.

- I w tym cały kłopot - Chang zadumał się na chwilę. - Bo mamy tylko dwie. Hej, Bob, a może dałbyś swoją latarkę Pete'owi? Ja pójdę pierwszy z moją. Ty ruszysz zaraz za mną. A Pete za tobą. W ten sposób wszyscy będziemy mieli jasno. Bo Pete, świecąc do przodu, będzie oświetlał ci drogę.

Ów pomysł niezbyt przypadł Bobowi do gustu. Tu, w tych smolistych mrokach, latarka była czymś sympatycznym, bliskim sercu i jasnym, była prawdziwą podporą.

Jednakże pomysł Changa był rozsądny, toteż Bob podał swoją latarkę Pete'owi. I okazało się, że mając wolne ręce, mógł łatwiej się czołgać, co było dlań rzeczą ważną, ponieważ zmęczona noga, którą jeszcze do niedawna nosił w szynie, zaczynała dawać znać o sobie.

Trudny odcinek mierzył tylko około stu jardów długości, lecz wydawało się im, że

wloką się w nieskończoność. Idący na czele Chang kładł się często na brzuchu, pełzając w ten sposób do przodu. Bob dotrzymywał mu kroku. Za Bobem podążał Pete, świecąc latarką sobie i Bobowi. Sunęli naprzód niczym gaśienice. Niekiedy Chang ustawał w drodze, aby poszerzyć otwór lub żeby odsunąć na bok mniejsze okruchy skalne.

W pewnym momencie Bob otarł się o ścianę, a wówczas spory odłamek skalny spadł mu na plecy i zaklinował go w miejscu, tak że nie mógł się w ogóle poruszyć. Zdołał jakoś przemoc ogarniający go lęk, a tymczasem Pete, pełzając tuż za nim i zahaczając mu niemal nosem o pięty, sięgnął ręką do przodu i usunął fatalny odłamek.

- Dzięki, Pete - westchnął Bob. I poczołgał się dalej. A za nim Pete, który - będąc potężniejszy - zatrzymał się na chwilę, aby wygrzebać trochę ziemi z podłoża i móc się dzięki temu przecisnąć korytarzem.

Kiedy już w końcu dostali się do miejsca, gdzie mogli się swobodnie wyciągnąć i oprzeć plecami o ścianę. Bob dyszał ciężko i chwycił zachłannie powietrze.

Nad nimi światło latarek wydobywało z mroku stare drewniane stemple, które podtrzymywały niegdyś strop, a teraz gięły się coraz bardziej pod spoczywającym na nich brzemieniem. Lecz skoro wytrzymały przez wszystkie minione lata, byłoby absurdem sądzić, że właśnie teraz nagle się załamią.

Leżeli dysząc ciężko. Po chwili odezwał się Chang:

- To był najgorszy odcinek - powiedział. - Mamy przed sobą teraz jeszcze jedno trudne miejsce, ale nie aż tak bardzo. Jedna sprawa jest natomiast pewna - zachichotał. - Jensen nigdy tu nas nie dopadnie. Jest na to za duży.

Gdy tak odpoczywali, Chang opowiedział im pokrótce o sieci kopalnianych tuneli, którymi się przedzierali. Po raz pierwszy zaczęto drążyć te lochy około roku 1849, gdy w Kalifornii odkryto złoto. Gdy wyczerpano już pierwsze bogate złoża, wielu kopaczy powędrowało dalej, ale część z nich została, ciężko pracując i tropiąc cienkie żyłki w głębi skał. Toteż chodniki kopalń zaczęły się stopniowo rozgałęziać.

Jednakże przyszłość doliny zależeć miała raczej od uprawy winorośli i wina, które chciano tu tłoczyć, gdyż po śmierci starego Mathiasa Greena matka panny Lydii zdołała wykupić okoliczne ziemie z myślą o rozwinięciu interesu. Lecz wtedy, w roku 1919, nadszedł okres prohibicji, kiedy to sprzedaż wina i jakichkolwiek innych napojów alkoholowych została zabroniona.

Wówczas winnicaomal nie zbankrutowała. Zaś robotnicy rolni, którym nie pozostało nic innego do roboty, przemienili się w kopaczy złota i ryli w skałach coraz głębsze tunele, szukając wciąż nieuchwytnego metalu.

Następnym ciężkim okresem okazał się Wielki Kryzys, który nastąpił pod koniec 1929 roku, gdy wszystkim zabrakło pieniędzy i poszukiwanie złota stało się dla wszystkich sprawnych fizycznie mężczyzn w okolicy jedyną rozpaczliwą szansą zdobycia gotówki.

Kiedy około roku 1940 sytuacja zaczęła się polepszać, poszukiwania złota zarzucono. Do tego czasu prohibicja została już zniesiona i winnica rozkwitła ponownie. Ale owo kopanie przez tyle długich lat pozostawiło w zboczach góry sporą sieć opuszczonych chodników i tuneli.

- Czy tutaj jeszcze jest jakieś złoto? - zapytał z ożywieniem Bob.

- Trochę go chyba zostało, lecz żeby je wydobyć, potrzeba by kilofa i dynamitu - odrzekł Chang. - No cóż, ruszajmy. Musi być już bardzo późno. Ciotka Lydia będzie się niepokoić.

Bob nadal znaczył ich trasę pytajnikami, wzbogaconymi dodatkowo o mylące strzałki. Tylko jeden raz Chang zdawał się pobłądzić, a było to w miejscu, z którego rozchodziły się trzy korytarze. W końcu wybrał ten z prawej strony, ale po blisko trzystu jardach napotkali zawałony strop.

- To zła droga - powiedział Chang i skierował światło latarki na podłozę tunelu. - Spójrzcie tylko.

Spojrzeni. W smudze światła połyskiwały jakieś zbielałe kości. Przez pełną napięcia chwilę Bob i Pete myśleli, że jest to ludzki szkielet. Lecz potem zrozumieli, że kości te należą do jakiegoś zwierzęcia, zaskoczono tutaj przez nagłe tąpnięcie.

- To tylko osioł. Pewnie jakiś górnik używał go do wywożenia rumowiska - powiedział Chang. - Całe szczęście, że i jego tu nie zasypało. Choć kto tam wie. Nikt nigdy tu nie kopał, a żeby to sprawdzić, więc trudno powiedzieć.

Bob spojrzał jeszcze raz na zbielałą czaszkę osła i wstrząsnął nim lekki dreszcz. Tym chętniej też pospieszył za Changiem, kiedy ten zawrócił.

Po wybraniu właściwego przejścia Chang nie miał już większych kłopotów. Prowadził ich bardzo szybko, mijając liczne rozgałęziające się przejścia, aż w końcu zatrzymał się tak gwałtownie, że Bob omal na niego nie wpadł.

- Doszliśmy już do Gardła - wyjaśnił.

- Gardła? - zdziwił się Pete. - A cóż to takiego?

- To naturalny uskoki, który ciągnie się aż do kopalń po drugiej stronie grzbietu - wyjaśnił Chang - ale jest dość stromy i wąski.

Poświecił latarką w głąb korytarza, który zdawał się jedynie jakimś pęknięciem w skale. Na tyle wysokim, że mógł tam stanąć wyprostowany, ale tak bardzo wąskim, że nie

zdołałby tam wejść inaczej, jak bokiem.

- No właśnie - dodał jeszcze, zda się czytając w ich myślach.

- Tu trzeba się będzie przeciskać bokiem.

- Czy... czy jesteś pewien, że to prowadzi aż na drugą stronę? - zapytał Bob. Im dłużej przebywał pod ziemią, tym mniej mu się to podobało. A pomysł, żeby przeciskać się przez tę wąską szczelinę, wcale nie przypadł mu do gustu.

- Jasne - odparł Chang. - Przechodziłem już tędy. A tak nawiasem mówiąc, czujecie tu prąd powietrza? Dochodzi właśnie z drugiej strony.

Była to prawda. Czuli lekki chłodny powiew.

- Musimy tędy przejść - stwierdził Chang. - To jedyne połączenie między dwoma stokami grzbietu i tylko chłopiec albo szczupły mężczyzna mogą się tędy przecisnąć. Pozostaje mi więc mieć nadzieję, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie urosłem za wiele. Ale cóż, pójdę pierwszy. Wy dwaj zaczekajcie, aż przebędę całą drogę. Wtedy błysnę trzy razy latarką, a ty. Bob, pójdiesz wtedy za mną. Pete i ja będziemy świecić latarkami z obu końców, tak byś mógł wszystko widzieć. Kiedy Bob już przejdzie, znów błysnę trzy razy. I wtedy pójdiesz ty, Pete.

Przystali na to. Chang, trzymając latarkę w prawej ręce, wcisnął się w czeluść Gardła. Ostrożnie zaczął posuwać się naprzód, nie czyniąc żadnego ruchu, za sprawą którego mógłby się zaklinować w wąskiej, nierównej szparze.

Pete i Bob, którzy to obserwowali, widzieli, jak światło latarki posuwa się stopniowo naprzód, chociaż na ogół przesłaniane jego ciałem. Chang powiedział, że gdy już przejdą przez Gardło, znajdą się niemal w tej części, gdzie leżakują beczki, i za godzinę będą z powrotem w domu.

Istotnie posuwał się dość szybko, ale dwóm czekającym chłopcom czas dłużyl się w nieskończoność, dopóki nie ujrzeli trzech następujących po sobie błysków światła, oznajmiających im, że zdołał się przedostać.

- W porządku, Bob - powiedział Pete. - To będzie dla ciebie łatwe, bo jesteś najmniejszy z nas.

- No jasne - odrzekł Bob, czując suchość w gardle. - To przecież drobiazg. Poświeć mi tylko trochę.

Wsunął się w czeluść Gardła. Pete świecił mu z tyłu latarką, trzymając ją nisko przy ziemi, natomiast z drugiego końca docierała blada poświata, pochodząca z latarki Changa.

Pete patrzył, jak jego przyjaciel powoli zdąża naprzód. Lecz w pewnej chwili ciało Boba, wypełniające niemal całą cieśnię Gardła, przysłoniło światelko z drugiej strony. Pete

uniósł nieco latarkę, sądząc, że Bob musi już teraz być w pobliżu Changa, a potem wyłączył ją. W napięciu czekał na trzy następujące po sobie błyski światła, które miały być dla niego sygnałem do wymarszu. Z jakiegoś powodu ich zabrakło.

Wtem usłyszał słaby okrzyk, a po nim słowa:

- Pete! Nie...

Był to głos Changa, stłumiony przez cieśń Gardła. I zabrzmiał tak, jak gdyby nagle mu przerwano, na przykład zatykając usta ręką.

Lecz Pete zdołał odgadnąć, co Chang chciał mu powiedzieć. Nie chodź tu!

Czekał na jakiś inny dźwięk czy znak. I w końcu ujrzał trzykrotny błysk latarki. A po przerwie trzy dalsze mrugnięcia światła.

Lecz owe błyski były nierówne i krótsze niż te, które przesłał im Chang.

Pete wiedział już, że to pułapka. Ktoś inny - nie Chang ani Bob - dawał mu teraz znaki, żeby wkroczył w głąb Gardła.

To i tamten krzyk mówiły mu całkiem wyraźnie, co takiego się stało. Chang i Bob zostali pojmani!

Rozdział 11

FORTUNA W CZASZCE

A w Rocky Beach, mniej więcej w tej samej chwili, Jupe rozmawiał przez telefon z panią Lydią Green.

- Więc Bob, Pete i Chang zniknęli?

- Po prostu ich nie ma! - W głosie kobiety dźwięczał bezmiar niepokoju. - Wyjechali konno, żeby zwiedzić dolinę, i powiedzieli, że nie będzie ich przez cały dzień. Byliśmy tutaj tak strasznie zajęci szeryfem, dziennikarzami i całym tym bałaganem, że nie zdaliśmy sobie sprawy, iż nie było ich aż do kolacji. I wtedy odkryliśmy, że nie ma ich nigdzie w dolinie, jak dotąd, nawet nie odnaleźliśmy ich koni.

Jupitera na chwilę zawiodły szare komórki. Zdołał tylko wymamrotać bezradnie:

- No to gdzie mogą być?

- Sądzimy, że są w kopalniach - odrzekła panna Green. - Tu, w tych zboczach, znajduje się cała sieć starych kopalń, a część z nich użytkujemy jako piwnice, w których leżakują nasze wina. Sądzimy, że być może Chang zabrał ich tam na wycieczkę, toteż właśnie zaczynamy przeczesywać teren i szukać ich tam.

Jupiter skubnął wargę. Mechanizmy jego mózgu zaczęły pracować. Zniknęły Perły Duchów. A teraz zniknęli również jego współpracownicy i Chang. Być może nie miało to ze sobą żadnego związku, on podejrzewał jednak, iż jakaś zależność istnieje.

Myślał najszybciej, jak tylko potrafił. To był nagły przypadek, toteż niezbędne były odpowiednie metody działania.

- Czy szukają ich wszyscy ludzie, jakich tylko macie tam pod ręką? - zapytał.

- Oczywiście - odrzekła panna Green. - Wszyscy robotnicy rolni, ci, którzy nas nie opuścili, i pracownicy z winiarni, a nawet służba domowa. Przeszukujemy te stare kopalnie, w których znajdują się beczki z winem. Wysłaliśmy także ludzi na pustkowia za Zieloną Doliną, żeby sprawdzili, czy aby przypadkiem chłopcy tam nie pojechali.

- Niech im pani powie, żeby szukali znaków zapytania - powiedział Jupiter. Znając swych dwóch współpracowników wiedział, że gdziekolwiek się znajdą, będą znaczyć swój ślad kreśląc wszędzie znak Trzech Detektywów.

- Znaki zapytania? - w głosie panny Green zabrzmiało zdumienie.

- Tak, znaki zapytania - odrzekł Jupiter. - Prawdopodobnie wyrysowane kredą. Jeśliby więc ktoś znalazł gdzieś pytajnik, albo nawet kilka, niech pani każe natychmiast o czymś

takim donosić.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła bezradnie panna Green.

- Nie mogę tego wyjaśniać przez telefon. Ale przylecę natychmiast. Czy może pani wysłać po mnie samochód na lotnisko? Przywiozę kogoś ze sobą... ojca Boba Andrews. Wiem, że on na pewno pojedzie.

- Tak... tak... - głos kobiety drżał. - Oczywiście. Och, mam nadzieję, że nic im się nie stało.

Jupiter podziękował jej i odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił do ojca Boba, który, wprawdzie bardzo zaskoczony, ustalił z nim, że spotkają się na lotnisku. Jupiter wybiegł z domu, żeby powiedzieć Karłowi, iż następnego dnia ma się zająć sprawami złomowiska i czynić to najlepiej jak umie, a ponadto, że teraz musi odwieźć go na lotnisko jedną z dwóch ciężarówek firmy, najlepiej tą mniejszą.

Wyteżał swój umysł, lecz nie był pewien, czy zdoła coś wymyślić. Nie sądził, aby Bob, Pete i Chang najzwyczajniej w świecie zabłądzili w kopalniach i aby łatwo było ich odnaleźć.

I nie mylił się. Bo w chwilę później Bob i Chang zostali przemyceni przez kordon ludzi przeszukujących kopalnie od strony Verdant Valley i wywiezieni w taki sposób, że nikt tego nie widział ani niczego nie mógł podejrzewać. Nikt nic nie widział, bo chłopców uwięziono w dużych beczkach na wino, a tego typu beczki były wszak pośród winnic widokiem tak bardzo powszednim, że nikt na nie nie zwrócił najmniejszej uwagi, nawet wtedy, gdy ładowano je na ciężarówkę.

Tak więc, mimo usilnych poszukiwań, Bob i Chang, znajdując się w rękach swego prześladowcy Jensena, zmierzali właśnie ku nieznanemu. Natomiast Pete, który miał przy sobie niebywale cenne Perły Duchów, błąkał się po gmatwaninie chodników za przewężeniem Gardła, gdzie nikt go nie szukał, bo nikt - z wyjątkiem Jensena i jego zbirów - nie znał miejsca jego pobytu ani nie wiedział o tym, że chłopcy sforsowali górski grzbiet i zjechali do Kanionu Hashknife. Podobnie zresztą jak nikt nie wpadłby na to, że gdzieś, po drugiej stronie, znajduje się szyb kopalniany, mający połączenie z piwnicami, gdzie przechowywano wino.

Pete, gdy tylko zdał sobie sprawę, że Bob i Chang musieli zostać schwytani przez kogoś, kto dybał na nich po drugiej stronie Gardła, cofnął się w mrok i tylko śledził uważnie wszystko dookoła. Wypatrywał oznak, że ktoś przeciska się przez Gardło, aby i jego złapać.

Lecz nie spostrzegł żadnego światła. Doszedł zatem do wniosku, że kimkolwiek mogą być mężczyźni, którzy pojмали jego przyjaciół, są z pewnością za duzi, by ryzykować

uwięzienie w Gardle. Oznaczało to, że nie przyjdą po niego, przynajmniej aż do czasu, póki nie znajdą kogoś na tyle szczupłego, by precyzyjnie się przecisnął przez wąską szczelinę w skale.

Ponieważ nie mógł tu zostać i czekać, jedyną jego szansą było odbycie drogi powrotnej aż do Kanionu Hashknife, a następnie ukrycie się wśród skał i przeczekać do rana. Na pewno do tej pory ktoś zacznie ich szukać, a on najlepiej pomoże Bobowi i Changowi, jeśli zostanie na wolności, i to aż do chwili, gdy będzie mógł wyjawić wszystko, co tylko wie.

Upewnił się, czy stara latarka zawierająca Perły Duchów nadal tkwi mocno za paskiem. Później, pomodliwszy się w duchu, żeby jego druga latarka wytrzymała tę próbę, zaczął się wycofywać drogą, którą przybył tu wcześniej.

Opłacała się teraz wytrwałość Boba w znakowaniu ich trasy. Bowiem bez większych trudności odnajdywał jeden po drugim znaki zapytania, wypisane zieloną kredą na skale. Nie brał pod uwagę strzałek, nakreślonych po to, aby wprowadzić w błąd ewentualną pogoń.

Ale pomimo to raz jeden zboczył z trasy. Gdyż kiedy Chang prowadził ich korytarzem, który kończył się ruinami stropu, Bob oznakował go tak, jakby to była prawidłowa trasa i teraz właśnie Pete podążał za tymi znakami. Zatrzymał się dopiero przed nie istniejącym już przejściem, zawałonym całymi tonami skalnego gruzu skrywającego kości małego osiołka, który zginął w momencie tąpnięcia.

Kiedy Pete zawrócił, aby ruszyć po własnych śladach, nasunęła mu się pewna myśl. Czy aby słusznie robi, zatrzymując przy sobie perły? Mogą go przecież schwytać. A wówczas, gdyby nie miał przy sobie pereł, przynajmniej nie trafiłyby one w ręce Jensena.

Rozmyślał gorączkowo. Ukrycie naszyjnika pod skałą mogło być ryzykowne. Tu wszystkie skały wyglądają jednakowo, a gdyby oznaczył którąś, powiedzmy, swoją niebieską kredą, znak mógłby przecież stanowić wskazówkę dla tamtych. Gdyby jednak było tu coś szczególnego, na co nikt nie zwróciłby większej uwagi...

Światło jego latarki padło na białą czaszkę osła. To właśnie było to! Coś, co wydawało się tu rzeczą tak naturalną, że nie mogącą zwrócić niczyjej uwagi, a zarazem stanowiącą punkt, który on w każdej chwili potrafi odnaleźć.

Wysunięcie ze starej latarki owiniętych w bibułkę Perły Duchów zajęło mu tylko jedną chwilę. Wepchnął je w głąb czaszki, którą potem ułożył tak, jak leżała poprzednio. Teraz z łatwością mógł w razie potrzeby odszukać naszyjnik.

Zawrócił, by odnaleźć właściwą drogę. Kiedy jednak zatrzymał się u zbiegu trzech korytarzy, przyszła mu nagle do głowy jeszcze jedna myśl. Nie było sensu dźwigać ze sobą pustej ciężkiej latarki. Nie miał pojęcia, jak na to właściwie wpadł, lecz postanowił włożyć na

miejsce perł kilka okruchów skalnych, a potem ukryć gdzieś latarkę. Miał niejasne odczucie, że może mu się to przydać, gdyby go złapano.

Owinął więc w chusteczkę parę drobnych kamyków, wepchnął je do pustej komory mieszczącej zazwyczaj baterie, a następnie upuścił latarkę w głąb szczeliny skalnej. Kilka stóp dalej ułożył niedbale kilka większych kamieni, tak że tylko baczny obserwator mógł się w nich dopatrzeć kształtu strzałki wskazującej w stronę dużej skały. To pozwoliłoby mu odnaleźć owo miejsce, gdyby kiedykolwiek zaistniała taka właśnie konieczność.

Zrobiwszy to, Pete jął się pospiesznie wycofywać, aż w końcu dotarł do bardzo niskiego odcinka korytarza, gdzie wcześniej, chcąc się przedostać, musieli się czołgać.

Był już od wielu godzin pod ziemią, toteż zaczynał odczuwać głód oraz wyraźny lęk wobec nieustających ciemności. Ale nie wolno mu było się spieszyć. Gdyby przyspieszył tempo, mógłby utknąć w szczelinie, być może na zawsze. Kiedy jest się w ciasnym tunelu skalnym, można się tylko poruszać powoli i ostrożnie.

Przesunął latarkę za paskiem na bok, aby nie zawadzała, ukląkł, potem opadł na brzuch i zaczął cal po calu podążać przed siebie.

Raz mały odłamek stropu spadł mu przed samym nosem, omal go nie trafiając. Przeżył wówczas chwilę grozy, bowiem wydało mu się, że cały odcinek stropu runie lada chwila. Kiedy tak leżał rozciągnięty na spągu, wyczuwał całym ciałem niewielkie drzenie ziemi. Zamarł bez tchu, oczekując, że wszystko się zaraz zawali, ale nic więcej już nie nastąpiło. Wszelkie wstrząsy ustały. Sięgnął przed siebie i odepchnął okruch skały na bok.

Odetchnął z ulgą, lecz potrzebował jeszcze paru minut, aby odzyskać spokój. Zdał sobie sprawę, co takiego się stało. Gdzieś w głębi nastąpił bardzo słaby wstrząs skorupy ziemi, a góry odpowiedziały nań niewielkim rezonansem.

Tak jak i wszyscy mieszkańcy Kalifornii, Pete doskonale wiedział, że słynny Rów San Andreas - wielkie pęknięcie w skalistej powierzchni ziemi - przebiega tuż pod zachodnią częścią ich kraju. Rów tektoniczny San Andreas wytworzyło silne trzęsienie ziemi, które dosięgło San Francisco w 1906 roku. Rów ten o wiele później, bo w 1964 roku, spowodował wielkie trzęsienie ziemi na Alasce, gdzie w wielu miejscach ziemia uniosła się do góry lub też zapadła w głąb na ponad trzydzieści stóp. Co roku powoduje on setki drobnych wstrząsów, czasem tak niewyraźnych, że rejestrują je tylko czułe instrumenty.

I to, co odczuł Pete, było zaledwie takim drobnym wstrząsem, następstwem osuwania się krawędzi Rowu. Lecz na szczęście skończyło się tylko na paru minutach niepokoju.

Gdzie indziej wstrząs ten pociągnął za sobą większe konsekwencje, Pete jednak nie mógł o tym wiedzieć.

Oddychając ciężko pokonał cały dystans dzielący go od miejsca, gdzie mógł już stanąć wyprostowany. Potem, najszybciej jak tylko mógł, ruszył szlakiem Boba, aż dotarł do jaskini, która dała początek ich wędrówce.

Jaskinia była pusta. Panowała tu głucha cisza. Za wejściem rozpościerały się niczym zasłona mroki nocy.

Pete wysunął się ostrożnie z tunelu, przystając co krok i nasłuchując. Ale nic nie usłyszał. Nie chciał zapalać latarki, widział więc wylot jedynie jako jaśniejszą plamę na tle zwartych ciemności.

Krok za krokiem zbliżał się do wyjścia. Znow przystanął i jął nasłuchiwać, lecz nie usłyszał niczego. Cał po cały wychylił się na zewnątrz, pewny, że jego kryjówka nie została odkryta.

Gdy całkiem już wyszedł z groty, zatrzymał się na chwilę, próbując dostosować swój wzrok do bladej poświaty gwiazd, które rozjaśniały noc.

Wtedy to właśnie zza skał przy wejściu wychyliła się jakaś postać.

Czyjeś silne ramiona pochwyciły go, a wielka dłoń zakryła mu usta.

Rozdział 12

SPOTKANIE Z PANEM WONEM

Bob i Chang znajdowali się w jakimś pomieszczeniu. Była to izba o solidnych tynkowanych ścianach, bez okien i tylko z jednymi drzwiami. Drzwi nie ustępowały, mimo że próbowali je otworzyć.

Ubrania chłopców nieźle ucierpiały wskutek czołgania się pod ziemią. Jednakże otrzepali się jakoś z pyłu i umyli cokolwiek.

Zdołali się też posilić. Właśnie opróżnili dużą tacę pełną chińskich potraw, których Bob wprawdzie nie znał, lecz które wydały mu się smaczne.

Jak dotąd, byli zbyt głodni, by mieć ochotę rozmawiać. Lecz teraz, zaspokoiwszy głód, odprężyli się nieco.

- Zastanawiam się, gdzie teraz jesteśmy? - zapytał Bob. Z pełnym żołądkiem nie przejmował się tym aż tak bardzo, jak podczas kilku ostatnich godzin.

- Jesteśmy gdzieś w podziemiach, w jakimś dużym mieście. Prawdopodobnie w San Francisco - odpowiedział mu Chang.

- Jak na to wpadłeś? - dopytywał się Bob. - Mieliśmy przecież opaski na oczach. Możemy więc przebywać w jakimś najmniej spodziewanym miejscu.

- Czuję, jak drżała podłoga, kiedy na zewnątrz przejeżdżały duże ciężarówki. A duże ciężarówki oznaczają wielkie miasto. Przyprawdzili nas tu chińscy służący, którzy potem przynieśli nam jedzenie. A San Francisco ma największą Dzielnicę Chińską w Stanach. Jesteśmy więc w sekretnym pomieszczeniu, w domu jakiegoś bardzo bogatego Chińczyka.

Bob potrząsnął głową.

- A jak z kolei to wykombinowałeś?

- Dzięki jedzeniu. Zostało ono ugotowane naprawdę po chińsku, do tego wręcz znakomicie. Mógł je przyrządzić tylko świetny kucharz. A jedynie ktoś naprawdę bogaty może sobie pozwolić na takiego szefa kuchni.

- Ty i Jupiter Jones świetnie byście do siebie pasowali - stwierdził Bob. - Żałuję, że nie mieszkasz w Rocky Beach, bo wtedy mógłbyś wstąpić do "Trzech Detektywów".

- Chciałbym - stwierdził ze smutkiem Chang. - Zielona Dolina jest bardzo odludna. W Hongkongu zawsze w pobliżu miałem wielu ludzi, wielu chłopców, z którymi można się było bawić. A tutaj... Ale wkrótce będę już pełnoletni i przejmę zarząd nad całą winnicą, jak sobie tego życzy moja czcigodna ciotka. - I po chwili dorzucił: - Jeżeli tylko uda mi się to zrobić.

Bob wiedział, o co Changowi chodzi. Jeżeli kiedykolwiek uda im się wybrnąć z tych opałów... niezależnie od tego, na czym one właściwie polegały. Jupe z pewnością co do jednego miał rację - było tu znacznie więcej tajemnic niż tylko samo pojawienie się ducha w opustoszałym domu.

Rozmyślenia chłopców przerwał zgrzyt otwieranych drzwi. Stał w nich jakiś niemłody już Chińczyk, odziany w tradycyjne chińskie szaty.

- Chodźcie! - powiedział.

- Chodźcie? Dokąd? - śmiało zapytał Chang.

- Czy mysz pyta, dokąd leci, kiedy dzierzą ją szpony orła? - odrzekł tamten. - Chodźcie i już!

Chang wyprostował się i wyszedł z pokoju. Bob, również wyprężony jak struna, podążył za nim.

Idąc za starym Chińczykiem, zmierzali korytarzem do niewielkiej windy. Winda powiozła ich gdzieś wysoko i zatrzymała się przed czerwonymi drzwiami. Stary Chińczyk rozsunął najpierw drzwi windy, później otworzył te czerwone i popchnął Boba naprzód.

- Wchodź! - powiedział. - I mów prawdę, bo inaczej orzeł cię pożre.

Znaleźli się sami w dużym okrągłym pokoju, obwieszonym wielką liczbą draperii, na których wyhaftowano złotą nitką różne piękne sceny. Bob ujrzał tu chińskie pagody, smoki, a nawet wierzby, które zdawały się kołysać na wietrze.

- Podziwiasz moje draperie? - odezwał się czyjś głos, który brzmiał wprawdzie cokolwiek staro, lecz zarazem wyraźnie. - Mają już pięćset lat.

Spojrzeli w drugi koniec pokoju i zorientowali się, że nie są tutaj sami. W wielkim rzeźbionym fotelu z czarnego drewna, grubo wyścielonym miękkimi poduszkami, siedział sędziwy mężczyzna.

Odziany był w powiewne szaty, podobne do tych, jakie nosili starożytni chińscy władcy. Bob widział ich na ilustracjach w książkach. Miał drobną chudą twarz, żółtą niczym źle ususzona gruszka, i przypatrywał się im zza szkieł w złotych oprawkach.

- Podejdźcie - rzekł bardzo spokojnie. - Siądźcie, nieszczęśni chłopcy, którzy przysporzyliście mi tylu kłopotów.

Bob i Chang ruszyli przed siebie po tak puszystych dywanach, że zdawało się im, iż grzęzną w nich po kostki. Stały tam dwa małe stołeczki, które zda się właśnie na nich czekały. Usiedli wpatrując się jak urzeczeni w swego rozmówcę.

- Możecie zwracać się do mnie panie Won - powiedział stary Chińczyk. - Mam już sto siedem lat.

Bob gotów był w to uwierzyć. Chińczyk z pewnością sprawiał wrażenie najstarszego człowieka, jakiego tylko Bob widział w życiu. Jednakże nie wyglądał wcale na zgrzybiałego.

Pan Won spojrzał na Changa.

- Ty mały świerszczu, w twoich żyłach również płynie krew mojego narodu. Mam tu na myśli dawne Chiny, a nie Chiny dzisiejsze. Twoja rodzina miała wiele wspólnego właśnie z tymi dawnymi. Twój pradziadek uprowadził i pojął za żonę jedną z naszych księżniczek. Lecz nie o to mi chodzi. Kobiety zwykły iść za głosem serca. A twój pradziadek zrabował coś jeszcze. Lub też przekupił jakiegoś urzędnika, ażeby ten to ukradł dla niego, co na jedno wychodzi. Skradł nam sznur pereł!

Pan Won po raz pierwszy dopiero ujawnił, jak bardzo jest podniecony.

- Sznur bezcennych pereł - powtórzył. - Przez ponad pięćdziesiąt lat miejsce ich przechowywania było kompletnie nieznane. Lecz teraz pojawiły się znowu. I muszę je mieć.

Pochylił się lekko do przodu. Jego głos zabrzmiał teraz donośniej.

- Czy słyszycie, wy małe myszy? Ja muszę mieć te perły!

Bob wpadł w popłoch, bo wiedział doskonale, że przecież nie mają pereł, ażeby móc je oddać panu Wonowi. Zastanawiał się, co teraz czuje Chang. Ale Chang, który siedział tuż przy nim, odpowiedział śmiało:

- Och, szlachetny panie - rzekł. - My nie mamy tych pereł. Są w posiadaniu kogoś zupełnie innego. A ma je chłopak o chyżych nogach i nieugiętym sercu, który umknął wraz z nimi, by zwrócić je mojej ciotce. Niech więc i pan zwróci nas mojej ciotce, a wówczas ja postaram się ją nakłonić, aby je panu sprzedała, ale jedynie pod tym warunkiem, że list, który otrzymała od kogoś, kto twierdzi, że jest krewnym żony mojego pradziadka, okaże się nieprawdziwy.

- On nie jest prawdziwy! - warknął pan Won. - Został wysłany przez kogoś, kogo znam, a kto jedynie pragnie wprowadzić w całej sprawie zamęt, ponieważ także chce kupić te perły. Jestem wprawdzie bogaty, ale on jest bogatszy. I kupi je, o ile ja nie dostanę ich pierwszy. Dlatego... muszę je mieć.

Chang skłonił głowę.

- Jesteśmy tylko małymi myszkami - powiedział. - Toteż czujemy się całkiem bezradni. Ci, którzy nas porwali, nie zdołali jednak pojmać naszego przyjaciela. To on ma perły. Lecz jest bardzo odważny i zdoła im uciec.

- Spartaczyli robotę! - Palce pana Wona bębniły po poręczu krzesła z drewna tekowego. - Pożalują, że pozwolili mu uciec!

- Omal go nie złapali - odrzekł Chang. - W jakiś sposób przejrzeli mój plan. Przyczaili

się i czekali, aż ja, a potem mój przyjaciel, prześlizgniemy się przez wąskie przejście, którego nie sforsuje żaden dorosły mężczyzna. Usłyszałem, jak potoczył się jakiś kamyczek. Poświeciłem latarką i zobaczyłem kogoś, więc zawołałem chcąc ostrzec mego przyjaciela, ale właśnie w tej chwili Jensen i jego ludzie pochwycili nas. Lecz mimo to mój przyjaciel uciekł. Przejście było zbyt wąskie, by Jensen i jego zbiry mogli się tamtędy przedostać.

- Spartaczyli robotę! - powtórzył gniewnie pan Won.- Kiedy wczoraj wieczorem Jensen zadzwonił do mnie, ażeby mi powiedzieć, że zdobył perły i że przywiezie mi je dziś wieczorem, ostrzegłem go, iż nie wolno mu popełnić żadnego błędu. A teraz...

Przerwał. Gdzieś w pobliżu zabrzmiał srebrzysty dzwoneczek. Pan Won sięgnął pod poduszki swego krzesła i, ku zdziwieniu Boba, wyciągnął spod nich telefon. Przyłożył słuchawkę do ucha. Po chwili odłożył ją:

- Zaszły duże zmiany - powiedział. - Zaczekajmy chwilę.

Czekali więc w milczeniu. Bobowi zdawało się, że cisza wciąż narasta, chociaż wiedział, że wszystkie te wrażenia są tylko dziełem jego roztrzęsionych nerwów. Co takiego się stanie? Dzień był tak pełen niespodzianek, że teraz chyba nic nie zdołałoby go zdziwić.

A jednak to, co później nastąpiło, było rzeczą, której nigdy by się nie spodziewał.

Otworzyły się czerwone drzwi.

Do pokoju wszedł brudny, rozczochrany i blady, lecz jak zawsze uparty Pete Crenshaw.

Rozdział 13

MUSZĘ MIEĆ TE PERŁY!

- Pete! - Bob i Chang skoczyli na równe nogi. - Nic ci się nie stało?

- Przede wszystkim jestem głodny - odrzekł Pete. - A poza tym nic mi nie jest, chociaż boli mnie ręka, którą mi wykręcili ludzie Jensena, próbując mnie zmusić, bym im wyjawiał, gdzie ukryłem Perły Duchów.

- A więc ukryłeś je? - zapytał Bob z podnieceniem.

- Nie powiedziałaś im, gdzie. Jestem tego pewien - dodał Chang.

- Jasne, że nie - stwierdził ponuro Pete.- Byli wściekli. Gdyby wiedzieli...

- Ostrożnie! - powiedział Chang. - Nie jesteśmy tu sami.

Pete nagle zamilkł. Dopiero teraz spostrzegł pana Wona.

- Ty nie jesteś małą myszką - powiedział pan Won, patrząc na Changa. - Jesteś małym smokiem, odlanym na podobieństwo twojego pradziadka. - Przerwał i zamyślił się. - Czy chciałbyś być moim synem? - zapytał, a chłopców aż zatkało ze zdumienia.

- Jestem bogaty, ale ciężko mi na sercu, bo nie mam żadnych męskich potomków. Adoptuję cię, będziesz moim synem, a dzięki memu bogactwu staniesz się rychło potężnym człowiekiem.

- Czuję się zaszczycony, czcigodny panie - odparł uprzejmie Chang. - Ale w głębi serca obawiam się dwóch rzeczy.

- Powiedz jakich - zażądał pan Won.

- Pierwsza z nich to fakt, że pragnie pan, bym zdradził swoich przyjaciół i zdobył dla pana Perły Duchów - rzekł Chang.

Pan Won skinął głową.

- Oczywiście. Chcąc zostać moim przyszłym synem, byłbyś do tego zobowiązany.

- Druga uwaga - ciągnął Chang - polega na tym, że chociaż teraz mówi pan całkiem szczerze, to jednak zapomni pan o tym, kiedy dostanie pan perły. Jednakże jest to i tak bez znaczenia, bo ja nie zwykłem zdradzać swych przyjaciół.

Pan Won westchnął.

- Gdybyś przyjął moją propozycję - powiedział - istotnie bym o tym zapomniał. Ale teraz już wiem, że na pewno bym ciebie zaadoptował, gdybyś tylko się zgodził. Ale ty wcale tego nie chcesz. Lecz ja muszę mieć te perły. Są one moim życiem. I twoim życiem również.

Pan Won sięgnął pod poduszki. Wyciągnął z jakiegoś schowka maleńką buteleczkę,

delikatną kryształową szklankę i krągły mały przedmiot, który położył sobie na dłoni.

- Przybliżcie się i spójrzcie - rozkazał.

Chang, Bob i Pete przysunęli się do niego i wpatrzyli w przedmiot, który spoczywał na wychudłej, pomarszczonej i szponiastej ręce.

Było to coś mętnej szarej barwy, jakaś rzecz, która mogła być po prostu źle wykonaną kulką do gry. Ale Chang ją rozpoznał.

- To Perła Duchów - krzyknął zdziwiony.

- Niemądra nazwa - stwierdził pan Won. Wrzucił bezcenną perłę do małej buteleczki. Płyn w niej zawarty wzburzył się i zabulgotał, a w końcu perła znikła - rozpuściła się.

- Prawdziwa nazwa tych pereł - powiedział przelewając płyn z buteleczki do kryształowej szklanki - brzmi Perły Życia.

Wypił zawartość szklaneczki, opróżniając ją do ostatniej, najmniejszej kropli. Następnie umieścił butelkę i szklankę na powrót w sekretnej skrytce, z której je wcześniej wydobył.

- Mały smoku z krwi Mathiasa Greena - rzekł - wraz z twymi przyjaciółmi. Powiem ci coś, o czym wie zaledwie kilku ludzi, i a ci, którzy o tym wiedzą, są albo bardzo mądrzy, albo bardzo bogaci, albo też jedno i drugie. Świat nazywa je Perłami Duchów. Świat wie, że są bezcenne. A dlaczego są bezcenne? Nie dlatego, iżby były piękne - bo jako perły są brzydkie. Wyglądają, jeśli można tak powiedzieć, na martwe. Nieprawdaż?

Nie mając pojęcia, do czego pan Won zmierza, chłopcy przytaknęli. A on ciągnął dalej:

- Przez całe wieki znajdowano je tylko w niewielkich ilościach w jednym miejscu na Oceanie Indyjskim. Teraz z jakiegoś powodu już się ich nie znajduje. Na świecie istnieje zaledwie pół tuzina sznurów Perł Duchów, że użyję dla nich waszej nazwy I są przechowywane jak skarb, pod strażą, przez najbogatszych ludzi Wschodu. A dlaczego? Ponieważ - tu zrobił dramatyczną przerwę - kiedy się je połyka, tak jak właśnie ja przed chwilą połknąłem tę, którą widzieliście, ostatnią, jaką posiadałem, zyskuje się bezcenny dar przedłużenia życia.

Chłopcy słuchali z wytrzeszczonymi oczami. Widzieli, że pan Won wierzy we wszystko, co mówi. Natomiast pan Won odetchnął głęboko.

- Rzecz została odkryta w Chinach całe setki lat temu - ciągnął.

- Władcy i arystokraci trzymali to w tajemnicy, którą później posiadli również bogaci przedsiębiorcy, tacy jak ja. Dożyłem stu siedmiu lat, ponieważ w ciągu życia połknąłem ponad sto takich pereł, które ignoranci nazywają Perłami Duchów.

Wpatrzył się swymi małymi czarnymi oczyma w Changa.

- Rozumiesz więc, mały smoku, dlaczego za wszelką cenę muszę mieć ten naszyjnik. Każda perła przedłuża życie o około trzy miesiące. W naszyjniku jest czterdzieści osiem pereł. Dla mnie oznacza to dodatkowych dwanaście lat życia. Dwanaście dodatkowych lat!

Podniósł głos.

- Muszę mieć te perły. I nic mnie nie powstrzyma. Wy, maluczcy, jesteście co najwyżej prochem na mej drodze, więc nawet nie próbujcie mi się przeciwstawiać! Dwanaście dodatkowych lat życia - a ja mam ich już sto siedem! Dlatego sam rozumiesz, mały smoku, jakie to dla mnie ważne.

Chang przygryzł wargi.

- On mówi poważnie - szepnął do Pete'a i Boba. - Nic go nie powstrzyma. Postaram się z nim dobić targu.

- Oczywiście, dobij ze mną targu - powiedział pan Won, który widocznie miał bardzo czuły słuch. - Bo tak się właśnie postępuje na Wschodzie. Honorowych warunków muszą honorowo dotrzymywać obie układające się strony.

- Czy zapłaci pan za perły mojej ciotce, jeśli Pete powie panu, gdzie są? - zapytał Chang.

Pan Won potrząsnął głową.

- Powiedziałem już, że zapłacę człowiekowi o nazwisku Jensen. I zwykle dotrzymywać słowa. Ale - przerwał obserwując uważnie Changa - są ponoć jakieś trudności ze spłatami hipotecznymi ciężącymi na winnicy i tłoczniach twojej czcigodnej ciotki. To właśnie ja posiadam te weksle. I daję słowo, że twoja ciotka będzie miała dość czasu, żeby je wszystkie pospłacać. A nadto duch, który straszył robotników, zniknie i robotnicy powrócą.

Wszyscy trzej chłopcy zamrugali oczami.

- A więc pan wie, co to jest za duch! - wykrzyknął Chang. - Jak się pan o tym dowiedział?

Pan Won uśmiechnął się lekko.

- Mam pewien zasób przeróżnych wiadomości - powiedział. - Zaprowadź Jensena tam, gdzie ukryliście perły, a wszystkie kłopoty się skończą.

- To brzmi całkiem rozsądnie - oświadczył Chang. - Ale skąd mamy wiedzieć, że można panu zaufać?

Pete i Bob nieświadomie skinęli głowami. Ich również dręczyła podobna myśl.

- Jestem panem Won - stwierdził surowo starzec. - Moje słowo jest trwalsze niżli stalowe obręcze.

- No to zapytaj go, jakim to niby cudem mielibyśmy ufać Jensenowi? - wybuchnął Bob.

- Jensen obieca jedno, a zrobi coś zupełnie przeciwnego! - przyłączył się Pete.

Pan Won podniósł głos.

- Przyślijcie tu do mnie tego człowieka, Jensena - powiedział.

Zamarli w oczekiwaniu. Przez długie dwie minuty nic się nie wydarzyło. Potem rozwarły się czerwone drzwi windy i wkroczył Jensen. Zmierzał śmiało w kierunku pana Wona i chłopców, z gniewnym wyrazem na ponurej twarzy.

- Czy zmusił ich już pan do mówienia? - warknął.

- Zważ, że nie mówisz do równego sobie! - przerwał mu ostro pan Won. - Jesteś jedynie pełzającym stworem, godnym co najwyżej tego, by cię rozdeptać. Zachowuj się więc odpowiednio!

Wszyscy trzej chłopcy spostrzegli wściekłość malującą się na twarzy Jensena, a potem strach... już tylko śmiertelny strach.

- Przepraszam, panie Won - powiedział zdławionym głosem.

- Zastanawiałem się tylko...

- Milcz i słuchaj. Jeśli ci chłopcy złożą dziś w nocy w twoje ręce naszyjnik, dopilnujesz, aby nie stała im się żadna krzywda. Możesz ich związać, jeśli to konieczne, ale nie za mocno, tak aby mniej więcej za godzinę mogli się wyswobodzić. Jeśli dadzą naszyjnik, każda krzywda, jaką im potem wyrządzisz, zostanie ci odpłacona stokrotnie. Jeśli zaś nie posłuchasz mojego ostrzeżenia, spotka cię Śmierć Tysiąca Cięć.

Jensen, nim zdołał cokolwiek powiedzieć, przełknął kilkakrotnie ślinę.

- Niech pan posłucha - zaczął, teraz już uniżonym tonem - cała Verdant Valley roi się pewnie w tej chwili od poszukujących ich ludzi. Do tej pory udawało mi się odwracać wszelkie podejrzenie od Kanionu Hashknife, gdzie zostawili konie. Moi ludzie donieśli, że nikogo tam nie ma. Ale jeśli zabiorę ich tam z powrotem...

- Może nie będziesz musiał ich tam wlec. Może zechcą ci powiedzieć, gdzie ukryli ten naszyjnik. Mam taką nadzieję. To uprościłoby sprawę.

Pan Won podniósł się z miejsca. Kiedy tak stał w swych powiewnych szatach, był bardzo małym człowiekiem i wyglądało na to, że mierzy niewiele ponad pięć stóp.

- Chodź - powiedział. - Oni pragną omówić to między sobą. Ponieważ chodzi o sprawę życia lub śmierci, mają prawo podjąć zupełnie swobodną decyzję.

Wyszli razem z pokoju. Pan Won, stawiając powolne, ostrożne kroki, zniknął gdzieś za szkarłatną kotarą.

Rozdział 14

ROZSTRZYGAJĄCA DECYZJA

- Nie mówcie niczego, co nie powinno zostać usłyszane - szepnął do pozostałych Chang, kiedy dwaj mężczyźni już zniknęli. - Tu może nas podsłuchiwać cały tuzin uszu. Mówmy coś dla zabicia czasu. Czas jest po naszej stronie.

- Cieszę się, że coś w ogóle jest po naszej stronie - stwierdził ponuro Pete. - Bo zdaje mi się, że szczęście sprzyja teraz raczej stronie przeciwnej. Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób was złapano.

- Poświeciłem dookoła siebie latarką - zaczął Chang - i dostrzegłem twarz jakiegoś mężczyzny. Krzyknąłem do ciebie, Pete. I wówczas rzuciło się na mnie chyba z pięciu chłopów. Nim zdążyliśmy się obejrzeć, związali nas i zakneblowali.

- A potem próbowali cię nabrać, żebyś ruszył za nami - wtrącił Bob. - Na szczęście byłeś dość cwany, żeby nie dać się wykołować. Jensen był naprawdę wściekły, kiedy ty zostałeś po tamtej stronie. Chciał, żeby ktoś przecisnął się za tobą przez Gardło, ale tam byli sami wielcy faceci, więc nikt nie śmiał próbować.

- Nie mogę zrozumieć, skąd oni tam się wzięli - zastanawiał się Pete.

- Jensen mówił, że dostał się na szczyt wzniesienia dokładnie w samą porę, aby zobaczyć, że skręcamy w zupełnie inną stronę, bo w dół Kanionu Hashknife - odparł Chang. - Pysznił się, że jest sprytniejszy od jakichś tam dzieciaków i że od razu zgadł, iż zamierzamy przejść przez te tunele. Wiedział skądś o chodnikach, które dzięki Gardłu łączą obie doliny. Toteż od razu poszedł na drugi koniec, żeby tam na nas zaczekać. Zostawił nadto kilku ludzi w jaskini w Kanionie Hashknife, ażeby nas złapali, gdybyśmy chcieli zawrócić.

Chang, zaszępioty, potrząsnął głową.

- A ja myślałem, że jestem taki sprytny! - powiedział. - I zrobiłem dokładnie to, czego oni się spodziewali.

- To był po prostu pech, że Jensen zdążył nas przyuważyć, nim zdążyliśmy się ukryć - odrzekł mu Pete. - Lecz, tak czy owak, wreszcie się dowiedziałem, że całe mnóstwo naszych pracowników było po prostu ludźmi Jensena. To z pewnością tłumaczy te wszystkie straty i szkody, o których nam mówiłeś.

- Tak - zgodził się Chang. - To musiało być sprawką Jensena i jego kompanów. Ale nie mogę jakoś dojść, dlaczego to robili. Wszystko zaczęło się ponad rok temu, kiedy nikt jeszcze nic nie wiedział o Perłach Duchów.

- No i, kiedy nas już związali - podjął opowieść Bob - wpadł nagle jeden z ludzi Jensena i powiedział, że już zauważono nasze zaginięcie i że ciotka Changa poleciała przeszukiwać kopalnie i wszystko dookoła. Wtedy Jensen rozeźlił się tak bardzo, że i jego właściwie powinni byli związać. Ale wówczas przyszedł mu do głowy ten pomysł. Doszliśmy właśnie do odcinka, gdzie zgromadzono trochę starych beczek na wino, tych dużych. Więc Jensen wepchnął do nich Changa, a potem mnie i kazał zabić wieka. Kazał ułożyć te beczki na wózku, wywieźć je na zewnątrz i załadować na ciężarówkę. Sądzę, że nikt się specjalnie tym nie zdziwił, widząc, jak ładują na ciężarówki beki z winem.

- Tak, to był sprytny pomysł - przyznał Chang. - Siedzieliśmy tam, w środku, zupełnie bezsilni. Słyszałem nawet, jak ktoś zapytał Jensena, czy nas przypadkiem nie widział, a on powiedział, że nie, ale że rozejrzy się na przełęczy, przez którą z północnej części doliny prowadzi droga do San Francisco. Powiedział też, że widział, jak jechaliśmy konno właśnie w tamtym kierunku. I mówił, że nie wróci, dopóki nas nie znajdzie. Widzicie, to dało mu doskonały pretekst, żeby wyłączyć się z ogólnych poszukiwań.

Pete skinął głową. Jensen z pewnością był łotrem, ale nie sposób jednak było nazwać go głupcem.

- Wydaje mi się, że ciężarówka wiozła nas przez dobrych parę mil - podjął opowieść Bob. - A potem się zatrzymała. Wyładowali beczki i wypuścili nas. Znajdowaliśmy się w jakimś potwornie odludnym miejscu.

- Byliśmy teraz nieopodal przełęczy i drogi - wtrącił Chang. - Czekala tam już furgonetka. Jensen ulokował nas w niej na leżąco i przykrył kocem, a pozostałym mężczyznom kazał czym prędzej wracać i przyłączyć się do poszukiwań, lecz robić co tylko się da, aby nikt nie zaglądał do Kanionu Hashknife, gdzie pozostawiliśmy konie. Powiedział im również, że jeśli cię złapią, Pete, to mają cię dostarczyć wraz z perłami pod pewien adres w San Francisco.

- No cóż, wprawdzie mnie złapali, ale perł nie mają - stwierdził z satysfakcją Pete.

- Jensen pędził jak wariat - ciągnął Chang. - Sądzę, że pobiliśmy wszystkie rekordy trasy pomiędzy Verdant Valley a San Francisco. Kiedy tu dotarliśmy, wjechał do jakiegoś podziemnego garażu. Wtedy rozwiązali nas jacyś chińscy służący, którzy pozwolili nam się umyć, dali solidny posiłek i oto cała historia, przynajmniej aż do chwili, kiedy sprowadzono nas tutaj na rozmowę z panem Wonem.

- Szkoda, że i mnie nikt nie dał solidnego posiłku - jęknął Pete. - I nie pozwolił mi się umyć. Spójrzcie tylko na moje ręce! No cóż, ja ze swej strony, gdy usłyszałem wasz krzyk, wiedziałem już, że te błyski światła, które przesyłał mi Jensen, są fałszywe. Jedynym

pomyślem, na jaki mogłem wpaść, było wydostanie się drogą, którą tu wcześniej przyszedłem. Ruszyłem więc z powrotem. Na szczęście Bob oznakował całą naszą trasę. To mi pomogło.

Bob uniósł rękę. W powietrzu, osłaniany przez swoich przyjaciół, nakreślił znak zapytania, znak "Trzech Detektywów".

- Ja także naznaczyłem beczkę, w której siedziałem - powiedział niemal bezgłośnie. - Udało mi się jakoś wyciągnąć kredę. Ale któż tam będzie zaglądał do beczki na wino, jednej spośród paru tysięcy innych. A gdyby nawet ktoś przypadkiem zajrzał, to i tak nie zrozumie przecież naszego znaku.

- Nawet Jupe nic by z tego nie wykombinował - szepnął Pete. - Ale lepiej rozmawiajmy normalnie, bo pomyślą, że coś knujemy.

Chang starał się zasugerować ewentualnym widzom, że właśnie Pete chciał im przekazać jakąś ważną wiadomość.

- Nie, Pete! - powiedział głośno. - Nie mów nam nic o perłach. Opowiedz lepiej, w jaki sposób cię złapali.

I Pete opowiedział im swoją historię. Wiedział, że Chang naprawdę sobie nie życzy, by choć jednym słowem wspomniał o prawdziwym miejscu ukrycia pereł. Opowiedział więc tylko o tym, jak ukrył latarkę pod skałą, a później wyczołgał się na zewnątrz i został złapany.

Ludzie, którzy go pojмали, wykręcili mu ręce, lecz kiedy im powiedział, że latarka znajduje się w kopalni, w części, do której nigdy się nie dostaną, zawiązali mu oczy, wyprowadzili z kanionu do czekającego już samochodu i przywieźli aż tutaj, do tej samej kryjówki, gdzie wcześniej już Jensen dostarczył Changa i Boba. Z podsłuchanych rozmów wywnioskował, że wszelkie poszukiwania koncentrują się na pustyni, z dala od Verdant Valley. Jak widać, kłamstwa rozprowadane przez ludzi Jensena sprawiły, że nikt nie odkrył trzech koni w Kanionie Hashknife.

Chang przybrał nader poważną minę.

- Moja ciotka i wuj Harold prawdopodobnie ledwie już żyją ze zmartwienia - rzekł. - Nie możemy zbyt liczyć na to, że uda nam się uciec od pana Wona. Kimkolwiek jest, posiada ogromne bogactwa i rozległe wpływy, toteż może zrobić niemal wszystko, co tylko zechce. Natomiast my możemy zrobić tylko jedno. To znaczy dać mu perły.

- Sądzisz, że powinniśmy mu je oddać? - zapytał Pete, myśląc o wszystkich udrękach, przez które przeszedł, i o trudach, jakie sobie zadał, by ukryć naszyjnik.

- Ufam mu - powiedział Chang. - Mówi, że nas nie skrzywdzi. Gwarantuje też, że skończą się wszystkie kłopoty ciotki Lydii.

- Czy przypuszczasz, że on naprawdę wierzy, że te perły przedłużają życie? - zapytał Pete. - Przecież to czysty obłąd.

- Jestem pewien, że w to wierzy - odparł Chang. - I może nawet istotnie tak jest. Nie wydaje się to prawdopodobne, lecz pamiętajcie, że chińska wiedza medyczna liczy sobie już wiele stuleci. Dopiero niedawno nauka zachodnia odkryła, że skóra pewnej ropuchy zawiera cenny lek, który w Chinach był znany już całe wieki temu. A bogaci Chińczycy zawsze wierzyli w lecznicze wartości wąsów tygrysa i kości wymarłych olbrzymów.

- Czytałem o tym - wtrącił Bob. - Kości olbrzymów były po prostu kośćmi mamutów z Syberii czy z innych miejsc.

- Któż więc może zaręczyć, czy szare perły rzeczywiście nie przedłużają życia? - zapytał Chang. - Pan Won w to wierzy, a zdarza się, że sama wiara jest dostatecznie silnym lekarstwem, by pokonać chorobę lub przywrócić życie umierającemu.

- Ciekaw jestem, co on też wie na temat zielonego ducha - zastanawiał się głośno Bob. - To śmieszne, ale i duch, i perły pojawiły się nieoczekiwanie, do tego w tym samym miejscu.

- Lecz Chang wcale go nie słuchał.

- Panie Won! - zawołał głośno. - Już postanowiliśmy.

Draperie rozsunęły się. Pan Won podszedł do nich. Za nim podążał Jensen i trzech służący w miękkich pantoflach.

- Więc jaka jest wasza decyzja, mały smoku? - zapytał pan Won. Prawdopodobnie słyszał wszystko, co mówili, z wyjątkiem zdań, które wypowiedzieli szeptem, ale Chang zdawał się tego nie brać pod uwagę.

- Wskażemy Jensenowi miejsce, gdzie są perły, żeby oddał je panu - powiedział. - Perły są w kopalni.

- Jensen może po nie pojechać - mruknął pan Won. - A do tej pory wy będziecie moimi gośćmi. Później zostanieie uwolnieni. Nie wiecie, jak się naprawdę nazywam, ani też gdzie mieszkam, więc możecie pleść wszystko, co tylko wam się spodoba. Jeśli wam nawet uwierzą, to i tak nikt mnie nie odnajdzie. Bo nawet dla tej współczesnej Dzielnicy Chińskiej, która rozciąga się wokół mnie, jestem jedną wielką tajemnicą.

- To nie takie proste - wyrzucił z siebie Pete. - Jensen jest za duży, żeby przeczołgać się przez ten odcinek, gdzie częściowo zawalił się strop. Tylko chłopiec lub ktoś niezwykle szczupły może tamtędy przejść.

- Znajdę takiego kogoś - zaczął Jensen. Ale pan Won klasnął gniewnie w dłoń.

- Nie! - powiedział. - To ty musisz je przynieść. Nie możemy nikomu zaufać. Zaraz przepytam chłopaka. Spójrz no mi w oczy, chłopcze!

Małe czarne oczy pana Wona spoczęły na twarzy Pete'a, ten zaś nie potrafił odwrócić wzroku, nawet gdyby bardzo chciał.

- Czy to prawda? - zapytał pan Won. - To, że Jensen nie zdoła przedostać się do miejsca, gdzie ukryłeś perły?

- Tak, proszę pana. - Pete czuł, że w żaden sposób nie potrafi skłamać. Przewiercany spojrzeniem pana Wona, nie potrafił się zdobyć na nic innego oprócz prawdy.

- Więc perły znajdowały się w starej latarce?

- Tak, proszę pana.

- A ty ukryłeś tę latarkę. Gdzie?

- Pod skałą.

- Gdzie znajduje się ta kryjówka?

- Nie potrafię tego dokładnie opisać - powiedział Pete. - Potrafię ją odnaleźć, ale nie byłbym w stanie narysować mapy czy czegoś w tym rodzaju.

- Ach... - Mogłoby się wydawać, że pan Won zamyślił się głęboko. Lecz zaraz potem zwrócił się do Jensena: - Sprawa jest oczywista. Nie możesz tam nikogo posłać. Tylko ten chłopiec potrafi odnaleźć latarkę. Musisz go więc zabrać ze sobą. Wtedy on odzyska latarkę i perły i odda je tobie. Zabierzesz zresztą wszystkich chłopców.

- Ależ to niebezpieczne! - smagła twarz Jensena okryła się kropelkami potu. - Jeżeli teraz przeszukują już kanion...

- Musisz podjąć związane z tym ryzyko. I musisz odzyskać perły. A wówczas chłopcom nie stanie się żadna krzywda.

- Za to będą gadać! I zostanę aresztowany.

- Zdołam cię jakoś ochronić. Zapłacę ci dobrze i przemycę bezpiecznie za granicę. Nie znają rysopisów twoich pomocników. Nie mogą więc powiedzieć niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Co do mnie - nikt mnie tu nie znajdzie. A nawet gdyby znalazł, to i tak nic mi nie będzie mógł udowodnić. Rozumiesz?

Jensen oddychał ciężko.

- Tak, panie Won - powiedział w końcu. - Zrobię, jak pan każe. Ale jeżeli oni mnie wykołują? Przypuśćmy, że nie oddadzą mi pereł...

W pokoju zapanowała długa chwila milczenia. Potem pan Won uśmiechnął się.

- Taki przypadek w ogóle mnie nie interesuje - powiedział. - Jeśli zechcesz, będziesz się mógł ich pozbyć i uciec w jakieś bezpieczne miejsce, jeśli tylko potrafisz. Ale sądzę, że oni nie będą próbowali żadnych sztuczek. Oni także, podobnie jak ja, kochają życie.

Bob poczuł, że drży. Żeby tylko Pete zdołał odnaleźć perły! Co do Pete'a, to doszedł

do wniosku, że właściwie pan Won pytał go tylko o latarkę, a on powiedział mu prawdę. Po prostu panu Wonowi nie przyszło nawet na myśl, że w latarce nie ma już perel. Pete nie miał na razie pojęcia, jaką korzyść mógłby im przynieść ten fakt, lecz uznał, że przynajmniej zanosi się na to, iż on, Bob i Chang zostaną przewiezieni z powrotem do Verdant Valley, a przynajmniej do Kanionu Hashknife.

- A teraz pospieszcie się - powiedział pan Won. - Zaczyna robić się późno.

- Zwiążę ich i... - zaczął Jensen.

- Nie! - zaprotestował pan Won. - Będą spać, póki nie dotrzecie na miejsce. To znacznie prostsze, łatwiejsze i dla nich bardziej wygodne. Mały smoku, spójrz no mi w oczy!

Chang niechętnie wykonał polecenie. Pan Won spojrzał nań stanowczo.

- Mały smoku, jesteś bardzo znużony... bardzo znużony. Marzysz jedynie o tym, żeby zasnąć. Sen bierze cię w swoje miękkie ramiona. Twoje oczy się zamykają.

Bob i Pete, którzy się temu przyglądali, zobaczyli, że powieki Changa opadają i zamykają się z wolna. Lecz potem, całą siłą woli, otworzył je znowu.

- Twoje oczy się zamykają! - powtórzył pan Won cicho, lecz stanowczo. - Nie zdołasz mi się oprzeć. Moja wola jest twoją wolą. Twoje oczy robią się sennie. Powieki opadają... Zamykają się... Zamykają się mocno...

I rzeczywiście, Chang, nie mogąc już dłużej kontrolować powiek, opuścił je w końcu. Głos pana Wona nadal rozbrzmiewał cicho i uporczywie.

- Jesteś senny - ciągnął. - Jesteś bardzo, bardzo senny... Sen opada na ciebie niczym fala ciemności. Zapadasz się w sen. Sen cię obezwładnia. Za chwilę zaśniesz i będziesz spał, póki nie każę ci się zbudzić. Śpij, mały smoku... Śpij... Śpij... Śpij... Śpij...

Jego głos nadal powtarzał to słowo, aż nagle pod Changiem - ugięły się kolana, po czym runął na ziemię, zapadając w głęboki sen. Jeden z oczekujących w pobliżu służących pochwycił go zwinnie w momencie upadku i wyniósł z pomieszczenia. Lecz Chang nie obudził się.

- A teraz ty, który ukryłeś moje cenne perły! Spójrz na mnie! Przyszła kolej na Pete'a. Próbował unikać spojrzenia pana Wona, lecz starcze źrenice przyciągały jego wzrok, zupełnie niczym magnes. Pete, wbrew sobie, nie mógł odwrócić oczu. Walczył desperacko z sennością, która go ogarniała, ale na próżno. Ogarnęło go wielkie zmęczenie, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Po kilku chwilach jego oczy zamknęły się mocno, a on sam runął w ramiona oczekującego już sługi.

Bob zdał sobie sprawę, że pan Won stosuje wobec niego hipnozę, środek zdolny uspić niemal każdego. Czytał gdzieś nawet, że stosuje się ją również w tym celu, by pacjenci

podczas operacji nie odczuwali bólu. Nie przeraził się więc, kiedy pan Won skierował swój wzrok na niego.

- Najmniejszy ze wszystkich, a jednak silny duchem - powiedział pan Won. - Ty także jesteś znużony. I będziesz spał tak samo jak twoi przyjaciele. Zaśnij...

Bob zamknął oczy. Upadł twarzą do przodu, lecz pochwyciono go, nim jeszcze uderzył o podłogę. Trzeci służący wyniósł go z pokoju.

Pan Won zatrzymał Jensena, aby udzielić mu ostatnich instrukcji.

- Tak jest o wiele lepiej... Wszyscy trzej będą spali twardo, póki nie dojdziecie do celu. Potem im po prostu powiesz, żeby się obudzili, a oni posłuchają. Znajdziesz perły, a chłopcy niech sobie odejdą wolno. Lecz jeśli nie...

Przerwał, lecz zaraz dokończył:

- Lecz jeśli nie, możesz im poderżnąć gardła.

Rozdział 15

JUPITER ZNAJDUJE TROP

- Ale czy nikt nie widział żadnych pytajników? - indagował podniesionym głosem Jupiter Jones. On i ojciec Boba właśnie przyjechali do Zielonego Domu w Verdant Valley po odbyciu pospiesznej podróży samolotem.

Panna Green potrząsnęła głową. Robiła wrażenie wyjątkowo zmęczonej.

- Nikt - odrzekła. - Ale kazałam wszystkim ludziom w dolinie szukać takich znaków. Pytamy nawet dzieci. Nie widziano tu jednak żadnych pytajników wypisanych kredą.

- O co chodzi? Cóż to za zamieszanie z tymi pytajnikami? - odezwał się Harold Carlson. Miał pomięty garnitur i również wyglądał na bardzo zmęczonego.

Jupiter wyjaśnił, że pytajnik jest specjalnym znakiem, którego on, Pete i Bob używają w celu zaznaczenia drogi albo też chcąc się wzajemnie powiadomić, że przebywają w jakimś określonym miejscu. Gdyby więc Pete i Bob byli gdzieś tutaj, nakreśliliby pytajnik, albo nawet cały ich szereg, żeby oznaczyć miejsce swojego pobytu.

- Musieli sforsować przełęcz i udać się na pustynię, jestem tego pewien - powiedział Harold Carlson. - Odnajdziemy ich jutro. Jak tylko się rozwidni, zorganizujemy poszukiwania z samolotu, który już załatwiłem. Gdyby znajdowali się gdzieś w pobliżu lub w samej Verdant Valley, znaleziono by przynajmniej ich konie.

- Być może - wtrącił się teraz pan Andrews, ojciec Boba. Jego głos brzmiał ponuro. - Panno Green, Jupiter ma pani coś do powiedzenia, coś, o czym chce, żeby pani wiedziała.

Panna Green i Harold Carlson czekali. Wszyscy czworo siedzieli w dużym salonie Zielonego Domu.

- Panno Green - powiedział Jupiter, starając się, by jego okrągła twarz wyglądała bardziej dorośle. - Lubię roztrząsać różne zagadki, no i cóż... stawiłem wiele czasu próbując wydedukować, o co chodzi z tym zielonym duchem i tym krzykiem, który słyszeli moi przyjaciele. I doszedłem do wniosku, że krzyk ten nie mógł dobiegać z wnętrza domu... Gdyż wtedy nie byłoby go słyhać. Dom jest nazbyt solidnie zbudowany. Zbadałem to. Krzyk musiał dobiegać skądś z zewnątrz domu.

Jeśli nawet przyjmujemy, że duchy istnieją, to przecież raczej żaden duch nie wychodziłby krzyczeć do ogrodu! A więc musiała to być jakaś żywa istota. Ludzie, którzy zajrzeli tam owej nocy, nie byli pewni, ile właściwie osób liczyła sobie ich grupa. Jedni mówili, że sześciu, inni, że siedmiu. A ja doszedłem do tego, że i jedni, i drudzy mieli rację.

Sześciu mężczyzn ruszyło w stronę domu po usłyszeniu krzyku. Siódmy mężczyzna, ten, który krzyknął, wyszedł po prostu z krzaków i przyłączył się do nich. Gdyż był to najprostszy sposób, żeby pozostać nie zauważonym. To jedyne wyjaśnienie, które pasuje do faktów.

- Chłopiec ma rację - rzekł pan Andrews. - Nie mam pojęcia, dlaczego komendant Reynolds i ja nie pomyśleliśmy o tym.

Panna Green słuchała w napięciu. Harold Carlson był wyraźnie pod wrażeniem słów Jupitera.

- To brzmi logicznie - rzekł w końcu, zmarszczywszy czoło. - Ale po co ktoś miałby robić coś takiego? To znaczy stać za krzakami i wrzeszczeć?

- Żeby zwrócić na siebie uwagę - powiedział Jupe. - Dziwny krzyk jest niezłym sposobem zwrócenia czyjejs uwagi. Atutem tak się akurat złożyło, że podjazdem szła grupa mężczyzn, mogąca usłyszeć ten wrzask. Poza tym to wcale nie był zbieg okoliczności. Bo tych mężczyzn specjalnie nakłoniono do tego, żeby tam się wybrali. Przynajmniej pięciu z nich.

- Gdyby właśnie nie to, byłoby tu stanowczo zbyt wiele zbiegów okoliczności - powiedział pan Andrews. - To chyba oczywiste, gdy się o tym pomyśli.

- Po prostu nie ma innego rozwiązania - stwierdził Jupiter. - Ktoś wędrował po osiedlu i wmawiał różnym ludziom, których tylko spotkał, iż powinni pójść obejrzeć dwór starego Greena, zanim jeszcze legnie on w gruzach. Sprawił, że jego propozycja miała w sobie jakby posmak przygody, toteż niebawem przyłączyła się doń mała grupka mężczyzn. Niektórzy z nich nie znali się nawzajem, więc nie wiedzieli również, że ten ktoś był zupełnie obcy.

Kiedy jego towarzysz, który ukrywał się dotąd w ogrodzie, zobaczył, że już nadchodzą, wydał ów straszny wrzask, naśladując upióra.

Pan Carlson zamrugał oczyma i wpatrywał się w Jupitera, jak gdyby próbując coś zrozumieć. Panna Green również miała zdziwioną minę.

- Ale... ale dlaczego? - spytała. - Po cóż by dwóch mężczyzn miało wyczyniać takie właśnie brewerie?

- Żeby ta cała grupa weszła do domu - odezwał się pan Andrews. - Żeby weszli do środka, zobaczyli ducha i później rozpowiedzieli o tym. Obawiam się, że to ma ręce i nogi, panno Green.

- Ale nie dla mnie - zaprotestował pan Carlson. - Dla mnie brzmi to zupełnie idiotycznie.

- Jupiterze - powiedział pan Andrews. - Puść taśmę, którą wtedy wieczorem nagrał

Bob.

Jupiter miał w pogotowiu przenośny magnetofon. Wcisnął klawisz. Dziwny wrzask wypełnił cały pokój. Panna Green i pan Carlson aż podskoczyli.

- To tylko początek - powiedział pan Andrews. - Magnetofon był włączony na cały regulator i nagrał trochę z tego, o czym mówiło tych sześciu mężczyzn. Niech mi państwo powiedzą, czy rozpoznajecie któryś z tych głosów?

Jupiter pozwolił, by taśma przesuwiała się dalej. Wtem rozległy się słowa mężczyzny o grubym głosie, a wówczas panna Green poderwała się nagle i z przerażenia szeroko otworzyła oczy.

- To mi wystarczy - rzuciła, a Jupiter wyłączył magnetofon. Panna Green spojrzała na Harolda Carlsona. - To był twój głos, Haroldzie! - rzekła dobitnie. - Zniżyłeś go tylko, w ten sam sposób jak wówczas, gdy grałeś zbójców w szkolnych przedstawieniach. Ale ja wiem, że to był twój głos!

- Kiedy przegrałem taśmę kilka razy, byłem już całkiem pewny, że ten głos jest mi skądś znajomy - powiedział Jupiter. - Zajęło mi to wprawdzie trochę czasu, ale akcent był podobny do tego, z jakim mówił pan Carlson, kiedy go spotkaliśmy w starym domu. Dla niepoznaki mówił tamtej nocy znacznie niższym głosem i nosił sztuczne wąsy. W ciemności to wystarczało.

Harold Carlson zmieszał się i wyglądał jak przekłuty balon.

- Ciociu Lydio - wydusił. - Mogę ci to wszystko wyjaśnić.

- Czyżby? - Głos panny Green był teraz lodowaty. - A więc zrób to.

Harold Carlson wpięty kilkakrotnie z trudem przełknął ślinę, a potem zaczął mówić.

Jego kłopoty zaczęły się półtora roku wcześniej, kiedy odkryto, że Chang żyje w Hongkongu, a ciotka Lydia sprowadziła go do Ameryki i oznajmiła, że skoro jest on prawnikiem Mathiasa Greena, to tłocznie i winnica po prostu należą do niego i że ona mu je odda.

- Bo ja liczyłem na to, że odziedziczę po tobie majątek - jęknął Harold Carlson. - Gdyż mimo wszystko, dopóki Chang tu nie przybył, ja byłem twoim jedynym żyjącym krewnym. I ciężko tu pracowałem, rozkręcając cały ten interes. A potem nagle zdałem sobie sprawę, że będę musiał to wszystko utracić!

- Mów dalej - głos panny Green był wyprany z wszelkiego wyrazu.

- No cóż - Harold Carlson otarł sobie czoło. - Wymyśliłem więc pewien plan. Kupię mnóstwo nowych urządzeń, pożyczę pieniądze od zaufanych ludzi, zadłużę cały majątek i sprawię, że przejmą go moi przyjaciele. Zrobiłem to. Wynająłem Jensena jako nadzorcę i

sprowadziłem również kilku jego kompanów, żeby pomogli mu robić szkody... niszczyć maszyny, zakwaszać wino... i takie różne rzeczy. No a potem ty zrobiłaś coś, od czego wpierw odzegnałaś się pod przysięgą. Zgodziłaś się sprzedać posiadłość w Rocky Beach.

- Tak - głos panny Green był bardzo cichy. - Moja matka obiecała Mathiasowi Greenowi, tuż przed jego śmiercią, że ta posiadłość nigdy nie zostanie sprzedana, nawet jeśli rozsypie się w gruzy. Ale ja... ja byłam już zupełnie zrozpaczona. Więc zgodziłam się ją sprzedać. Żeby spłacić długi, które ty zaciągnąłeś, Haroldzie.

Jupiter słuchał z żywym zainteresowaniem. Zrozumiał, o co chodziło z tym krzykiem, wydedukował, że Harold Carlson jest w jakiś sposób winny, lecz nie potrafił jeszcze sprecyzować dlaczego. Nie całkiem też pojmował rolę ducha.

- Myślałem, że mój plan, żeby przejąć twój zadłużony majątek i podzielić się nim z przyjaciółmi, spalił na panewce - powiedział Harold Carlson. - I wówczas otrzymałem wiadomość.

- Wiadomość? - przerwał mu krótko pan Andrews. - Co to było?

- Żebym pojechał do San Francisco, bo ktoś chce się ze mną widzieć. Zrobiłem to. Był to bardzo stary człowiek nazwiskiem Won. Miałem zawiązane oczy, więc nie wiem, gdzie się spotkaliśmy. Powiedział mi, że wykupił już weksle tłoczni i winnicy i wypłacił moim przyjaciółom specjalną premię, by mu je odsprzedali i zachowali milczenie.

- Ale po co to zrobił? - zapytała panna Green.

- Zaraz o tym powiem - westchnął Harold Carlson. - Miał do mnie pewien interes. W jego domu mieszka bardzo stara służąca, która była niegdyś pokojówką żony Mathiasa Greena. Ktoś, kto przeczytał o tym w gazetach, wspomniał jej, że stary dom został właśnie sprzedany i że mają go burzyć. Wyjawiała więc tajemnicę, której dochowała przez te wszystkie lata.

Powiedziała panu Wonowi, że żona Mathiasa Greena została pochowana właśnie w tym domu, w pokoju, który później zamurowano, a wszyscy służący musieli przysiąc, że dotrzymają tajemnicy. Ale teraz dom miano burzyć, nie chciała więc, by zakłócono spokój szczątkom jej niegdysiejszej pani.

Pan Won powiedział mi również, że służąca twierdziła, iż młodą damę pochowano ze słynnym sznurem Pereł Duchów na szyi.

Harold Carlson przerwał na chwilę i ponownie otarł sobie twarz.

- Cóż, pan Won zdawał się wiedzieć o wszystkim. Wiedział, że chcę mieć ten majątek. Wiedział, że sprzedaż domu pozwoli ci, ciociu Lydio, zachować posiadłość. Przedstawił mi więc pewien plan. Miałem spowodować, by zaczęto sądzić, że w tamtym domu straszy. To

mogłoby odwlec sprzedaż. Równocześnie zyskałbym szansę dokładnego przeszukania domu. Won wskazał mi, gdzie znajduje się sekretny pokój.

Miałem się do niego wdrzeć, zabrać perły, a potem obwieścić o znalezieniu ciała żony i rozpowiedzieć wszystkim, że naprawdę wierzę w to, iż w tym domu straszy.

- Wydaje się, że pan Won wszystko dokładnie przemyślał - zauważył ponuro ojciec Boba.

- Wszystko to opracował. Miałem mu sprzedać naszyjnik za sto tysięcy dolarów. Miałem też zrobić wszystko, by w starym domu zobaczono ducha. A potem duch miał "przybyć" do Verdant Valley i w ten sposób zmusić tutejszych pracowników do ucieczki, dzięki czemu tegoroczne zbiory zostałyby zmarnowane. To by zrujnowało winnicę. Won wszedłby na hipotekę, a potem odsprzedał mi cały inwentarz za sto tysięcy dolarów, które dał mi za perły. W ten sposób ja miałbym winnicę i tłocznię, a on zyskałby perły, które z jakiegoś powodu ogromnie pragnął zdobyć.

- Czy powiedział też panu, jak udawać ducha? - zapytał z żywym zainteresowaniem Jupiter.

- Tak. Ale o tym później. Gdyż cały plan, tak jak mi go nakreślił, wydawał się bardzo prosty. A i ja poczyniłem swoje własne plany. Nauczyłem Jensena, jak wydawać ten wrzask. Lecz potem wydarzyło się coś, czego się nie spodziewaliśmy. Robotnicy zaczęli burzyć dom o cały tydzień przed terminem.

Dowiedziałem się nawet, że już zdążyli się zabrać do roboty. Wpadłem w popłoch. Specjalnym samolotem poleciałem z Jensenem do Rocky Beach, bojąc się, że szkielet żony zostanie odkryty, zanim ja tam dotrę. Bo wówczas Perły Duchów przejdą mi koło nosa i nie będę mógł ich już sprzedać. Przypadną ciotce Lydii, a wtedy ona spłaci dług hipoteczny.

Tak więc dotarłem do Rocky Beach, jeszcze nim robotnicy zdążyli cokolwiek zrobić. Kiedy się ściemniło, ustawiłem Jensena w krzakach. Później przespacerowałem się po sąsiednim osiedlu i nakłoniłem kilku mężczyzn, by wybrali się ze mną do starego domu. A Jensen wrzasnął. Zaczęliśmy badać przyczynę tego krzyku. I pojawił się duch.

Kilku mężczyzn zawiadomiło policję. Jensen i ja umknęliśmy wtedy. On wrócił tutaj, do Zielonej Doliny, a ja pozostałem w Rocky Beach. Chodziłem po mieście opowiadając, że duch pojawia się także w innych miejscach, aby relacje w gazetach prezentowały się niezwykle sensacyjnie i mroziły krew w żyłach.

Owej nocy nie wróciłem już do Verdant Valley. Zanocowałem w motelu podając recepcjonistce zmyślane nazwisko, a następnego ranka wynająłem samochód i pojechałem do dworu, by poszukać ukrytego pokoju i pereł.

Niestety, robotnicy przeprowadzający rozbiórkę dostrzegli z zewnątrz owo pomieszczenie i szef policji postawił tam ludzi na straży. Nie mogłem wejść do środka, dopóki pan, panie Andrews, a także komendant i chłopcy nie przyjechaliście tu i nie wkroczyliśmy tam wspólnie.

Tak więc, kiedy znalazłem perły, nie mogłem po prostu chyłkiem włożyć ich do kieszeni, ażeby później sprzedać je panu Wonowi. On czytał o wszystkim w gazetach i przewidział moje kłopoty. Powiedział mi więc, żebym zainscenizował kradzież pereł. Na okrągłej twarzy Jupitera odmalował się wyraz satysfakcji. - Doszedłem do tego, że musiał pan sfingować tę kradzież - powiedział. - Gdy tylko zdałem sobie sprawę, że to pan powoduje ukazywanie się ducha. Po tym, jak Bob rozmawiał ze mną przez telefon i powiedział mi, że panna Green zobaczyła ducha i że perły zostały skradzione, przyszło mi na myśl, że w obu przypadkach był pan w to zamieszany. Gdy panna Green ujrzała ducha czy jakąś inną zjawę, byliście na piętrze sami. Więc tylko pan mógł być sprawcą ukazywania się zjawy. Nikt inny nie wchodził w ogóle w grę. I jeśli to pan powodował ukazywanie się ducha - ciągnął Jupiter, podczas gdy inni słuchali w napięciu - to był pan również autorem wszystkich związanych z tym wydarzeń, a kradzież pereł była tylko częścią planu. Tak więc wydedukowałem, że musiał pan sfingować tę kradzież. Uznałem też, że pewnie Jensen działa wspólnie z panem, bo wróciliście wówczas razem do domu, a on miał mnóstwo czasu, żeby móc pana związać, nim jeszcze wrócił do miejsca, w którym zostawił Boba, Pete'a i Changa.

- Tak - przyznał ponuro Harold Carlson. - To ja sprawiłem, że duch pojawił się raz jeszcze w pokoju ciotki Lydii i że znów zaczęto o nim mówić. Potem wyjąłem perły z sejfu, żeby je pokazać chłopcom.

Wszystko zostało przygotowane. Jensen miał wpaść z wiadomością, że w winnicy widziano ducha. A naprawdę to podbechtał trzech ludzi, by udawali, że widzieli zjawę i aby roznieśli tę plotkę, powodując ucieczkę zbieraczy.

Wybiegłem i zostawiłem sejf otwarty. Kiedy Jensen i ja wróciliśmy tam znowu, on związał mnie i zabrał perły. Miał mi je oddać dzisiaj, ale nie zrobił tego.

Harold Carlson wyglądał na bardzo oburzonego.

- Powiedział, że sam je zamierza sprzedać panu Wonowi. Mówił też, że nie osmieję się złożyć skargi, bo wówczas wyjdzie na jaw mój udział w całej tej machinacji. Oszukał mnie! I nie ma go już prawie cały dzień. Podejrzewam, że odjechał z perłami do San Francisco.

- Na nic innego nie zasłużyłeś, Haroldzie - ton głosu panny Green brzmiał ostro. - Doprawdy, poczynałeś sobie jak zwykły kryminalista. Ale teraz perły nie są tu istotne.

Musimy odnaleźć chłopców. Gdzie są Chang, Pete i Bob?

Harold Carlson potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Jupiter doznał nagłego olśnienia.

- A może oni tropili Jensena! - wykrzyknął. - A on ich złapał, ażeby uciszyć!

Ojciec Boba ponuro skinął głową.

- To mi wygląda na bardzo słuszną teorię - powiedział. - Przecież Jensena też nie ma.

A ten tu twierdzi, że nie widział go prawie przez cały dzień.

- Wiem, gdzie Jensen mógł ukryć chłopców - powiedział Harold Carlson. - Ale jakim cudem zdołał ukryć ich konie? Mówię wam, dziesiątki ludzi przeszukiwały całą dolinę i część pustyni poza nią.

- Gdyby ktoś gdzieś dostrzegł znaki zapytania... - powiedział Jupiter. - Bob i Pete z pewnością znaczyliby swoją trasę, gdyby tylko mogli.

Wpatrywali się w siebie nawzajem, gdy wtem drzwi otworzyły się bez pukania i stara służąca Li wpadła do pokoju.

- Szeryf jest tutaj, panienko - zawołała. - Szeryf mieć jakąś wiadomość.

- Znalazł chłopców? - wykrzyknęła panna Green, zrywając się na równe nogi.

Ale szpakowaty mężczyzna z gwiazdą na wypłowiałej niebieskiej koszuli, który wszedł zaraz za Li, potrząsnął tylko głową.

- Nie, proszę pani - powiedział. - Wyznaczyła pani nagrodę dla każdego, kto znajdzie choćby jeden z tych pytajników, a ja mam tu dzieciaka o imieniu Dom, który twierdzi, że coś takiego widział.

Zza postaci szeryfa wyłonił się mały onieśmielony chłopiec w obszarpanych spodniach na szelkach i lichej koszulinie.

- Wczoraj wieczorem widziałem taki znak - i narysował w powietrzu pytajnik. - Nie wiedziałem, że to coś znaczy. Poszedłem spać. A tu budzę się i słyszę, że tata i bracia mówią o nagrodzie pięćdziesięciu dolarów, które panna Green da pierwszej osobie mogącej wskazać taki właśnie znak. To sobie przypomniałem.

Spojrzał z nadzieją na pannę Green.

- Dostanę pięćdziesiąt dolarów? - zapytał.

- Tak, chłopcze, tak! - rzuciła kobieta. - Jeżeli mówisz prawdę. Gdzie widziałeś ten znak?

- Wewnątrz beczki. Tam, koło tej drogi na pustyni - powiedział chłopiec. - Wszyscy pojechali szukać ich tam dalej, a ja zobaczyłem beczkę i zajrzałem do środka. Zobaczyłem ten

znak, ale nikt mi jeszcze nic o tym nie mówił, więc nie wiedziałem, że to takie ważne.

- W beczce na pustyni! - w głosie pana Andrews brzmiało rozczarowanie. - Nie wiem, czy to się na coś przyda.

- Sądzę, że powinniśmy tam pojechać, proszę pana, i zobaczyć te beczki - powiedział Jupiter z kiepsko maskowanym podnieceniem. - To może okazać się ważne!

- Jadę z wami! - oznajmiła zdecydowanym tonem panna Green. - Li, podaj mi płaszcz.

- Ja też się z wami wybiorę - powiedział Harold Carlson.

- Ty pozostaniesz tutaj! - odpowiedziała stanowczo.

Wszyscy wybiegli na zewnątrz i wsiedli do starego samochodu szeryfa. Jazda do końca doliny, a potem na pustynię zabrała im zaledwie dziesięć minut.

Po paru milach światła samochodu wydobyły z mroku dwie beczki na wino stojące na poboczu drogi.

- To tam! - powiedział Dom, wskazując je palcem. - W pierwszej beczce!

Szeryf oświetlił latarką dwie duże kadzie, które stały tu niby dwa posągi.

- To stare, zużyte beczki - powiedziała panna Green. - Nie nadają się już na wino. Zastanawiam się tylko, co one tutaj robią.

Lecz Jupiter, pan Andrews i szeryf usiłowali teraz zajrzeć do beczki, którą wskazał im Dom. I zobaczyli wyraźnie koślawy pytajnik, nabazgrany na dnie.

Jednakże tylko Jupiter zdał sobie sprawę, że znak wyrysowany był zieloną kredą, i wiedział, co on oznacza.

- W tej beczce był Bob! - wykrzyknął. - I pozostawił ten znak jako ślad.

- Teraz rozumiem! - zawołała panna Green. - Beczki na wino są tu czymś tak zwyczajnym, że nikt nie zwrócił uwagi, widząc je wywożone ciężarówką. A przecież właśnie w nich mogli znajdować się chłopcy!

- Tam do licha! - wymamrotał szeryf. - To znaczy, że zostali uprowadzeni, co?

- Prawdopodobnie wyjęto ich tutaj z beczek i wywieziono! - powiedział pan Andrews. - Bardzo prawdopodobne, że do San Francisco. I zrobił to oczywiście Jensen. To znaczy, że musimy zawiadomić policję w San Francisco, żeby ich tam szukano. Wracajmy więc do domu i zatelefonujmy.

Wszyscy wsiedli z powrotem, a szeryf cofnął wóz, żeby móc zawrócić. I wówczas wszyscy ujrzeni w świetle reflektorów skrawek papieru, uwikłany na poboczu drogi w kolce kaktusa. Tylko Jupiter wyczuł, że znalezisko to może mieć jakieś znaczenie. Jął więc nalegać, aby nań poczekano, a wysiadzie i podniesie ów strzępek kartki. Przyniósł go i wtedy wszyscy przyjrzeni mu się uważnie w świetle latarki.

- To z notesu - stwierdził szeryf. - I jest tu coś napisane.

- To pismo Boba! - wykrzyknął pan Andrews. - Wygląda, jakby to pisał po ciemku, ale jego gryzmoły rozpoznałbym wszędzie.

Na kartce widniały duże niezgrabne litery:

39

KOPALNIA

NA POMOC

???

- Trzydzieści dziewięć... kopalnia... na pomoc! I te trzy pytajniki - pan Andrews zmarszczył czoło. Jupiter jednak nie miał żadnych wątpliwości.

- To pisał Bob - oświadczył uroczyście. - Donosi nam, żebyśmy go szukali gdzieś w kopalni.

- Cóż, możliwe - zgodził się po chwili wahania szeryf. - Ale co ma znaczyć te trzydzieści dziewięć? Trzydzieści dziewięć mil?

- Tego to już nie wiem - przyznał Jupiter.

- W odległości trzydziestu dziewięciu mil nie ma żadnej kopalni - stwierdziła panna Green. - Wszystkie tutejsze kopalnie znajdują się w Verdant Valley albo w Kanionie Hashknife. Żadna z nich nie ma numeru, a ludzie zapewnili mnie, że zarówno dolina, jak kanion zostały dokładnie przeszukane.

Popatrzyli po sobie, bezradni i zaniepokojeni.

- Wiadomość od Boba oznacza, że on, Pete i Chang muszą być gdzieś tutaj - wycedził powoli Jupiter. - I że zagraża im jakieś niebezpieczeństwo. Ale jak tu mieć nadzieję, że zdołamy ich odszukać?

Rozdział 16

KATASTROFALNE ODKRYCIE

Bob i Chang siedzieli przy sobie, opierając się plecami o ścianę jaskini, która stanowiła wejście do kopalni, gdzie Pete ukrył perły. Tuż obok nich, po każdej stronie, siedziało dwóch mężczyzn - ludzi Jensena - na wypadek gdyby próbowali uciekać. Chłopcy mieli związane nogi w kostkach, nie było więc zbyt wielkiej szansy, by zdołali dokądkolwiek uciec.

Było już całkiem ciemno i bardzo późno. Całą powrotną drogę do Kanionu Hashknife przeleźli, przykryci kocami, na tyłach furgonetki. Potem, kiedy samochód nie mógł już jechać dalej, obudzono ich i zmuszono, aby po ciemku doszli tu, do jaskini.

Pete i Jensen weszli do środka kopalni, aby zabrać ukryte perły.

- Ufasz panu Wonowi? - zapytał Bob. - Czy mówił prawdę wieczorem, gdy powiedział, że nic nam się nie stanie, jeżeli on będzie miał te perły?

- Ufam mu - odrzekł po chwili wahania Chang. - To bardzo mądry stary człowiek. Żyje tutaj, w Chińskiej Dzielnicy, w dobrym starym stylu. Il nie wychodzi z ukrycia, chociaż sama Chińska Dzielnica bardzo się teraz zmieniła i naprawdę jest już bardzo amerykańska. Podejrzewam, że znaczna część jego domu znajduje się pod ziemią. Może to nawet i prawda, że ma sto siedem lat.

- Widziałem, jak bardzo Jensen się go bał. Sądzę, że jeśli Pete odda Jensenowi perły, będziemy w pełni bezpieczni.

- A jeśli Pete ich nie odnajdzie? - zapytał Bob.

- Na pewno je znajdzie - powiedział Chang. - Pete jest sprytny.

- No, mam nadzieję, że tak - odparł Bob, a mówił nadal szeptem, tak by dwaj senni wartownicy nie kazali im się uciszyć. - Wiesz, włożyli nam z powrotem wszystko do kieszeni... moją kredę, notes, ołówki i nóż. W ogóle wszystko.

- To znaczy, że zamierzają nas puścić wolno - stwierdził Chang.

- Pod warunkiem, że Pete odnajdzie perły - wymamrotał Bob. Pamiętał, jak bardzo podobne są do siebie wszystkie skały w kopalni. Ani trochę by go to nie zdziwiło, gdyby Pete nie potrafił odnaleźć tej właściwej. Nie wiedział bowiem, że Pete ukrył perły w czaszce osła. To był właśnie sekret Pete'a.

Bob miał swój własny, bardzo ważny sekret. Korciło go, by powiedzieć o nim Changowi, ale nie ośmielił się z obawy, żeby nie podsłuchało go tamtych dwóch strażników.

Siedzieli i czekali. A w odległości zaledwie mili, w Verdant Valley, Jupiter, panna Green i inni próbowali za wszelką cenę wymyślić, gdzie należy ich szukać. Ale bez powodzenia.

Nie pomyśleli o tym, żeby zbadać Kanion Hashknife, bo przecież przeszukano go już i okazał się pusty. Jednakże “przeszukiwali” go właśnie ludzie Jensena, którzy donieśli, że nikogo tam nie ma. A teraz Jensen znajdował się wraz z Pete'em głęboko pod ziemią.

- Spróbuj tylko ze mną jakichś sztuczek, chłopcze, a staniesz się zaraz małym martwym ptaszkiem - warczał Jensen, podczas gdy ich latarki rzucały zwariowane cienie wzdłuż wąskich kopalnianych chodników. - Wasze konie są zamknięte w małym naturalnym corralu, tuż przy wodopoju na końcu Kanionu Hashknife. Jeśli nie wyjdiesz z perlami, wszyscy trzej wylądujecie właśnie tam, w jeziorku. Będzie to wyglądało na okropnie smutny wypadek, a ja okażę się najsmutniejszym żałobnikiem.

Pete zadrżał. Wierzył, że ten zwalisty, gburowaty mężczyzna zrobi to, o czym mówi. Pragnął jedynie oddać perły Jensenowi i skończyć z tą całą hecą.

- Ech, dzieciaki! - prychnął Jensen. - Myśleliście, że uda wam się mnie przechytryć! Przejrzałem wasz plan, że chcecie przejść przez kopalnie, ledwie tylko spostrzegłem, że jedziecie nie w tę stronę Kanionu Hashknife. Wiem wszystko o tych kopalniach. Bo kiedy przeprowadzam się w jakąś nową okolicę, to zawsze dowiaduję się o niej wszystkiego, czego tylko można się dowiedzieć. Tak na wszelki wypadek, gdybym się musiał szybko skądś wynosić. Znam każdy grzbiet i kanion na dziesięć mil dokoła.

Doszli do miejsca, gdzie oberwany strop ścieśnił przejście do zaledwie paru cali. Jensen ostrzegł jeszcze po raz ostatni Pete'a i Pete zaczął czołgać się na brzuchu.

Ponieważ robił to już przedtem dwukrotnie, tym razem udało mu się pokonać ów odcinek bardzo szybko. Wkrótce mógł już stanąć wyprostowany i teraz omal nie puścił się pędem, podążając w ślad za znakami zapytania, które nakreślił Bob.

Doszedł do potrójnego rozgałęzienia korytarzy, skręcił w prawo i znalazł się w miejscu, gdzie leżał szkielet osła. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, co się stało.

Kiedy tak stał i patrzył, lodowaty pot rosił mu całe ciało. Czaszka osła zniknęła! Tam gdzie powinna była się znajdować, widniał ogromny gład wielkości dużej taczki. Złamany stempel i ziejący otwór w stropie znaczyły miejsce, gdzie gład ten oderwał się od skały i upadł na czaszkę, rozbijając ją w pył.

A perły znajdowały się właśnie w czaszce. I były delikatne, łatwe do zgniecenia. Więc teraz obróciły się w proch. Zmieszany z prochem starych kości.

Rozdział 17

TAJEMNICZE 39

Pete, kiedy był już w stanie pomyśleć nieco spokojniej, zrozumiał, co takiego tu się wydarzyło. Przypomniawszy sobie tamten słaby wstrząs, owo niespokojne drżenie podłoża spowodowane przez trzęsienie ziemi... gdzieś tam na skraju tektonicznej rury San Andreas, które odczuł tej nocy, gdy wyczołgiwał się z chodników kopalni.

Owo echo odległego wstrząsu zrzuciło wielki głaz na Perły Duchów i zniszczyło je!

I teraz, choćby nawet nie wiedzieć jak bardzo tego pragnął, nie mógł oddać pereł Jensenowi.

Bez przekonania próbował odsunąć głaz na bok, lecz był on o wiele za ciężki. Zresztą wiedział, że nie miałyby to sensu. Pod nim znajdowała się przecież lita skała, a kiedy skała upadnie na skałę, każdy kruchy przedmiot, jaki się między nimi znajdzie, zostanie zmielony na pył.

Próbował coś wymyślić. Przyszło mu do głowy, że mógłby pójść dalej, aż w końcu dotarłby do Gardła. Mógłby prześliznąć się przez nie i w ten sposób spróbować odnaleźć wyjście z kopalni.

Lecz wówczas, kiedy znalazłby się już po drugiej stronie Gardła, nie miałby wszak pojęcia, którądy iść dalej. Prawdopodobnie zgubiłby się i mógłby się błąkać w tych lochach przez wiele długich dni.

Tak czy owak, w ten sposób nie ocaliliby Boba i Changa. Bowiem o wiele wcześniej, nim udałoby mu się znaleźć wyjście i sprowadzić pomoc, Jensen przejrzałby jego zamiary i podjął jakieś drastyczne kroki.

Wówczas przypomniał sobie o latarce, którą ukrył, włożywszy do niej najpierw kamyki.

Mając słabą nadzieję, że może dzięki temu uda mu się wyprowadzić Jensena w pole, zawrócił w głąb korytarza. W miejscu, gdzie rozchodziły się trzy odnogi, znalazł ułożone przez siebie kamienie, które tworzyły coś na kształt strzałki wskazującej na duży blok skalny.

To właśnie za tą skałą była ukryta latarka. Żałował teraz, że nie zostawił w niej pereł. Lecz wtedy ośła czaszka wydawała mu się znakomitą kryjówką. Któż mógł przewidzieć to trzęsienie ziemi?

Wsunął latarkę za pasek i ruszył z powrotem. Nie spieszył się teraz tak bardzo. Próbował wymyślić po drodze jakiś sposób oszukania Jensena.

Jedyną możliwością było to, że Jensen weźmie latarkę i nie będzie się zbyt spieszył z otwarciem jej. W tym właśnie Pete pokładał swoje nadzieje.

Osiągnął wreszcie trudny odcinek korytarza i zaczął się przezeń przeczołgiwać na brzuchu. Gdzieś u kresu trasy Jensen dostrzegł migotanie latarki i zawołał doń:

- Pospiesz się! Nie myśl, że zdołasz zyskać na czasie! No, szybciej!

Pete czołgał się nadal, przygnębiony jak nigdy dotąd. Wyszedł wreszcie i wstał otrzepując się z kurzu. Lecz Jensen nie dał mu spokoju.

- Dawaj tę latarkę! - warknął. Dostrzegł jej koniec sterczący Pete'owi zza paska i wyszarpnął mu ją. Ujął w dłoń, poczuł, że jest należycie ciężka, i wsunął sobie do kieszeni.

- A teraz nie traćmy czasu! - rzucił. - Chcę się stąd wydostać.

Ruszył długimi krokami w kierunku wyjścia z jaskini. Struchlały Pete podążał tuż za nim.

Lecz po mniej więcej dziesięciu krokach Jensen zatrzymał się i odwrócił.

- Skąd mam wiedzieć, czy nie próbujesz zrobić mnie w konia? - łypnął groźnie na Pete'a. - Nie ufam wam, dzieciaki! Jesteście stanowczo za sprytni.

Wydobył latarkę, odkręcił zakrętkę u spodu i wepchnął palec do środka.

Kiedy to robił, Pete'a poniosły nagle nerwy oraz nogi.

Ruszył pędem, chcąc ominąć Jensena i mając zarazem nadzieję, że zdoła mu umknąć.

Lecz gdy przebiegał obok, tamten wyciągnął stopę i podciął mu nogi. Pete runął głową w przód, przez dobrą chwilę leżał ogłuszony, a potem dźwignął się z wolna, pojękując z bólu.

Jensen zdążył już odkryć, że latarka zawierała jedynie parę zwykłych kamyków otulonych w chusteczkę, i niemal zaniemówił z gniewu.

Wpierw bełkotał coś niezrozumiale, a potem sięgnął po nóż.

Długie ostrze błysnęło złowrogo.

Schwycił Pete'a za kołnierz, przyłożył mu nóż do pleców i rozkazał:

- Naprzód!

Pete ruszył, a szalejący z wściekłości mężczyzna podążał za nim.

- Wiesz, co to oznacza - stwierdził, gdy już ustępująca wściekłość pozwoliła mu mówić bardziej zrozumiale. - Pan Won pozwolił mi was wykończyć, jeśli tylko popróbowujecie jakichś sztuczek. Słońce wszędzie za kilka godzin, ale żaden z was już go nie ujrzy!

Pete nawet nie próbował tłumaczyć, co takiego się stało. Zresztą Jensen wcale nie dbałby o to. Interesował go tylko fakt, że nie ma pereł.

W końcu doszli do jaskini, która stanowiła przedsionek kopalni. Latarka Pete'a

oświetliła niewyraźne postacie Boba i Changa, przycupniętych pod ścianą, zupełnie jakby spali.

Obok nich widoczne były sylwetki dwóch strażników.

- Wstawać! - warknął Jensen. - Musimy się szybko zwijać... Pozbyć się tych niezdolnych bachorów i wynieść stąd najszybciej jak się da!

Obaj mężczyźni dźwignęli się leniwie. A potem nagle w ich dłoniach pojawiła się broń. Pete'a i Jensena omiotło światło co najmniej pół tuzina latarek. Gdzieś z głębi rozległ się głos szeryfa Bixby'ego:

- Nie ruszaj się, Jensen! Trzymamy cię na muszce! I to ze wszystkich stron!

Lecz Jensen nie usłuchał. Pochwyił Pete'a, obrócił go gwałtownie i popędził ku wyjściu, ciągnąc chłopca za sobą.

Stało się to tak szybko, iż nikt nie zdążył go w porę zatrzymać. Nikt też nie śmiał wystrzelić, z obawy, żeby nie trafić Pete'a.

U wylotu jaskini Jensen puścił chłopca i popędził przed siebie, wymijając dwóch ludzi, którzy trzymali tam straż, ale nie spodziewali się, że coś podobnego może się wydarzyć. Rzucając się niemal na oślep w dół kanionu, Jensen znikł w ciemnościach, zanim ktokolwiek zdołał uczynić coś więcej poza oddaniem paru niecelnych strzałów w mrok.

- Dostaniemy go jutro - stwierdził szeryf Bixby. - Tam do licha, cieszę się, że wreszcie mogę widzieć tych ananasów, już bezpiecznych i zdrowych.

Pete, Bob, Chang oraz Jupiter Jones, który wyłonił się z głębi jaskini wraz z ludźmi szeryfa Bixby'ego, rzucili się sobie w ramiona. Aż wreszcie Pete nie wytrzymał i zapytał przybyłych, jak się tu dostali. Odpowiedział mu pan Andrews, wspierając dumnie rękę na ramieniu Boba.

- Jupiter zdołał rozwiązać zagadkę ducha - powiedział. - A po tym, jak odkryliśmy znak, który Bob wyrysował w beczce na wino, znalazł również kartkę, tę, którą Bob wyrzucił z samochodu, a wskazującą nam, byśmy szukali was w kopalni. Nie mieliśmy pojęcia, o jaką kopalnię chodzi, ale panna Green przypomniała sobie, że ty, Chang, zwiedzałeś kiedyś te kopalnie wraz ze starym poszukiwaczem złota, Danem Duncanem. Dan Duncan jest teraz chory i przebywa w szpitalu w San Francisco, lecz panna Green zatelefonowała do niego, a on poradził jej, że jeżeli nie znaleźliśmy was dotąd, to powinniśmy szukać w kopalni w Kanonie Hashknife, w głębi jaskini, gdzie znajduje się wejście do sztolni. Był przekonany, że jeśli nie znaleźliśmy was w innych kopalniach, musicie z całą pewnością być właśnie w tej wskazanej przez niego.

Więc szeryf wziął paru ludzi i przemknęliśmy się do kanionu, a tu przyszło nam

odbyć niewielką potyczkę z ludźmi strzegącymi Boba i Changa. Na szczęście Jensen znajdował się zbyt głęboko w kopalni, żeby móc słyszeć, toteż zastawiliśmy nań pułapkę czekając, aż wreszcie wyjdziecie.

Potem zwrócił się do Boba.

- Synu – powiedział - jest takie jedno pytanie, na które chcielibyśmy uzyskać od ciebie odpowiedź. Bo nawet Jupiter nie mógł tu nic poradzić.

- Słucham cię, tato - odrzekł Bob.

Pan Andrews spojrział na Jupitera Jonesa i skinął głową.

Jupe rozwinął karteczkę, na której było wypisane wielkimi niezgrabnymi literami:

39

KOPALNIA

NA POMOC

???

- Bob - powiedział - zrozumieliśmy całą wiadomość z wyjątkiem tej liczby. Przypuszczam, że powinienem to wiedzieć... lecz cóż... Zechciej nam wytłumaczyć, co oznacza to trzydzieści dziewięć?

Bob uśmiechnął się. Wyciągnął swój notes i otworzył go. Pozostały zeń teraz już tylko okładki. Wszystkie kartki zostały wyrwane.

- Pete, Chang i ja leżeliśmy pod kocami z tyłu furgonetki - opowiadał. - Pete i Chang spali, natomiast ja tylko udawałem. Kiedy zrozumiałem, że powinniśmy się znajdować gdzieś w pobliżu Verdant Valley, wyciągnąłem ołówek i notes i zacząłem wypisywać te kartki. Musiałem to robić po ciemku, pod kocem, toteż nie mogłem umieszczać tam długich zdań. Po napisaniu każdą z kartek wysuwałem przez szczelinę, tuż obok klapy z tyłu furgonetki. Miałem nadzieję, że ktoś znajdzie chociaż jedną i domyśli się, gdzie jesteśmy. Każdą numerowałem, tak aby ktoś, kto by znalazł więcej niż jeden arkusik, wiedział, że idzie naszym tropem we właściwym kierunku. Ta akurat wiadomość miała numer trzydzieści dziewięć. A całą resztę, jak sądzę, musiał rozwiać wiatr.

Pan Andrews wybuchnął śmiechem. Pozostali mężczyźni zawtórowali mu. Po napięciu ostatnich minut owa tajemnicza liczba i proste wyjaśnienie jej sensu wydały im się czymś bardzo zabawnym.

W końcu nawet Jupiter uśmiechnął się z przymusem. I bez przekonania. Przyszło mu bowiem do głowy, że gdyby wcześniej zdołał rozszyfrować zagadkę tych dwóch cyfr,

mogliby odszukać więcej rozrzuconych kartek i w ten sposób odnaleźć trop Boba. Powinien był się spodziewać, że Bob będzie postępował w sposób nader metodyczny. Bo czyż to właśnie nie Bob zajmował się archiwum oraz ekspertyzami firmy?

Na szczęście ta jedna karteczka mimo wszystko ułatwiła rozwiązanie.

Rozdział 18

JUPITER WYWOŁUJE DUCHA

A jednak następnego ranka Jensena nie złapano. Zapewne zdołał zbiec dzięki znajomości terenu, którą tak się chwalił, albo też spotkało go jakieś nieszczęście gdzieś w mrocznych odnogach kanionu. Tak czy owak, nigdy go już więcej nie widziano. Co się tyczy Harolda Carlsona, to panna Green, która nie chciała wytaczać procesu krewnemu, wyprosiła go z domu z surowym zaleceniem, by nigdy więcej nie pokazywał się jej na oczy.

Pan Andrews, odzyskawszy syna i mając w zanadru gotowy plan opowieści, którą zamierzał napisać dla swojej gazety, wrócił pospiesznie do Los Angeles. Pragnął ujawnić fakt, że pojawienie się zielonego ducha było zwykłym oszustwem, i opowiedzieć wiele szczegółów dotyczących tego, co się wydarzyło, łącznie z kradzieżą pereł i smutnym końcem, jaki spotkał naszyjnik w tunelu, pod oberwanym złomem skalnym. Zamierzał jednak umniejszyć rolę chłopców, by zaoszczędzić im rozgłosu, i całkowicie pominąć udział pana Wona, nie mógł się bowiem o nim w ogóle niczego dowiedzieć. Widocznie przechwałka starego Chińczyka, że stanowi on tajemnicę dla całego świata, pokrywała się z prawdą.

Tytus Jones zatelefonował do Jupitera, że skład złomu może jeszcze przez dzień albo dwa być zamknięty, toteż Bob, Pete i Jupiter pozostali w gościnie u Changa Greena. Teraz, kiedy już wszelkie obawy przed duchem ustąpiły, ludzie wrócili do pracy, zgodnie z planem zbierając i wyciskając dojrzałe grona. Chłopcy spędzali czas bardzo miło, zwiedzając okolicę, jakkolwiek Bob musiał poświęcić dzień na odpoczynek, gdyż podczas karkołomnych wyczynów nadwerżył sobie nogę.

Spędził ten czas porządkując notatki z zakończonej sprawy. Jupiter chciał obejrzeć tunele w kopalni, ale kiedy zobaczył Gardło i inne przewężenia, które jego przyjaciele musieli forsować, przestał żałować, że wówczas go z nimi nie było. Przy swojej korpulentnej posturze mógłby utknąć na dobre w każdym z tych miejsc.

W końcu Trzej Detektywi powrócili do Rocky Beach. Wkrótce po ich powrocie szef miejscowej policji, komendant Reynolds, złożył im wizytę oraz gratulacje z powodu wyjaśnienia afery zielonego ducha.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo się cieszę, że to, co wówczas widziałem, nie było żadnym duchem - stwierdził. - jeśli tylko będę wam kiedyś mógł być w czymś pomocny, to dzwońcie do mnie, chłopaki. Ażeby udowodnić, że mówię poważnie, zaopatrzę was jeszcze w coś, co może się w waszej pracy okazać przydatne.

Wręczył każdemu z nich małą zieloną karteczkę, na której można było odczytać:

Zaświadcza się, że posiadacz niniejszej karty jest ochotnikiem Młodzieżowej Służby Policyjnej współpracującej z policją w Rocky Beach. Będziemy bardzo wdzięczni za udzieloną okazielowi pomoc.

Samuel Reynolds
Komendant policji

- O do licha! - wykrzyknęli Pete i Bob. A Jupiter aż pokraśniał z radości.

- Może się to wam kiedyś okazać pomocne - powiedział komendant. - Będzie dla moich ludzi dowodem, że nie jesteście po prostu wścibskimi smarkaczami, ilekroć tylko zaczniecie robić coś, co może im się wydać podejrzane.

I odszedł ścigany ich podziękowaniami. Następnego dnia, kiedy Bob skończył już robić notatki, poszli odwiedzić Alfreda Hitchcocka, który żywo interesował się ich wszystkimi sprawami, jeżeli tylko uznał, że zostały należycie rozwiązane. A czynił to od momentu, gdy zdecydował się przedstawić ich po raz pierwszy.

Chłopcy usiedli w dużym gabinecie, a tymczasem słynny reżyser czytał uważnie historię ich nowej przygody. Od czasu do czasu kiwał głową, a parokrotnie nawet zachichotał.

W końcu odłożył plik papierów.

- Dobra robota, chłopcy - powiedział. - I niezła przygoda.

- Mógłbym to przeżyć jeszcze raz! - wykrzyknął z zapalem Pete.

- Ogólnie rzecz biorąc, sprawa wydaje mi się jasna - powiedział pan Hitchcock. - Harold Carlson chciał zagarnąć majątek dla siebie, więc pożyczał od swych przyjaciół pieniądze i zamierzał dopilnować, ażeby dług ten nigdy nie został zwrócony. Pomagał mu w tym przedsięwzięciu Jensen. Potem pan Won, dowiedziawszy się o Perłach Duchów odkrytych w starym domu w Rocky Beach, wykupił weksle od przyjaciół pana Carlsona i naciskał nań, aby zdobył dla niego naszyjnik.

Pochylił się do przodu, stukając palcem w papiery.

- A co z panem Wonem? - zawołał. - Ta postać mnie intryguje. Ma sto siedem lat, pije rozpuszczone perły, aby utrzymać się przy życiu, i żyje sobie w dawnym chińskim stylu! Czy nie mieliście o nim żadnych wieści?

Przyznali, że nie. Bob powiedział tylko panu Hitchcockowi, że w dwa dni po tym, jak w gazecie ukazał się artykuł jego ojca, do Verdant Valley przybyło dwóch niepokąnych Chińczyków. Wysłał ich pan Won. Chcieli uzyskać pozwolenie na próbę odnalezienia

zmiądzonych pereł pod skałą, która na nie runęła. W zamian pan Won miał się zgodzić na danie pannie Green długiego terminu spłaty weksli.

Panna Green przystała na te warunki. Dwaj Chińczycy wczłgali się do kopalni wraz z lewarami, a potem wyszli niosąc w skórzanej torbie jakiś pył. Czy był to pył z pereł, czy z czaszki, czy też coś jeszcze innego, tego nikt nie wiedział. Odeszli nic nie mówiąc.

Pan Hitchcock przygryzł wargę.

- Przypuszczam - powiedział - że ów pył mógłby zadziałać równie dobrze jak i same perły, gdyby tylko ci ludzie zdołali go jakoś zebrać. No, no, to ciekawy pomysł, że picie rozpuszczonych Pereł Duchów może przedłużać życie. Może to być po prostu najzwyczajniejszy przesąd. Choć może to być i prawda. Nigdy się tego nie dowiemy.

Utkwił badawcze spojrzenie w Jupiterze.

- Młody Jonesie - powiedział - jakkolwiek nie uczestniczyłeś w większości tych przygód, to jednak wygląda na to, iż ponosisz główną zasługę w rozwiązaniu tej zagadki, jednakże dręczą mnie jeszcze dwie sprawy.

- Służę panu - odrzekł uprzejmie Jupiter.

- Na tych kartkach - pan Hitchcock postukał palcem w notatki Boba - widzę wzmiankę o małym psie, którego jeden z mężczyzn wniósł do domu Greena owej nocy, kiedy pojawił się duch. Twierdzisz, że ten pies pomógł ci rozwiązać zagadkę. Więc chciałbym wiedzieć jak. Cóż on robił takiego, co dało ci jakieś szczególne wskazówki?

- No cóż, proszę pana - zaczął Jupiter - rozmyślając o tym właśnie psie przypomniałem sobie psa w jednym z opowiadań o Sherlocku Holmesie. Pamięta pan zapewne, że Sherlock Holmes nakazał doktorowi Watsonowi przemyśleć dziwny incydent z psem pośród mrocznej nocy.

- Oczywiście! - Na twarzy pana Hitchcocka odmalowało się zrozumienie. - A na to doktor Watson odparł, że ów pies po ciemku w ogóle nic nie robił i wówczas Sherlock Holmes stwierdził, że na tym właśnie polega całe znaczenie tego dziwnego incydentu!

- Otóż to, proszę pana - zgodził się Jupiter.

Pan Hitchcock przekartkował plik notatek i znalazł stosowny fragment. Przeczytał go ponownie.

- Tak jest! - wykrzyknął. - Pies, którego niósł jeden z mężczyzn, w ogóle nic nie robił. Trochę tylko skomlał, prawdopodobnie dlatego, że nie lubił, aby go nosić. Młody Jonesie, chylę przed tobą czoło, ponieważ spostrzegłeś ten właśnie drobny fakt.

Pete i Bob wybałuszyli oczy. Bo i co można było wywnioskować z faktu, iż był tam jakiś pies, który w ogóle nic nie robił?

- Nie rozumiem tego - powiedział Pete. - A więc pies nic nie robił. No i co?

- Mój drogi młody człowieku - powiedział Alfred Hitchcock. - Zwykło się na ogół uważać, że psy i koty w obecności istot nadprzyrodzonych zachowują się bardzo niespokojnie. Koty prychają i pluja. Psy wyją i rzucają się do ucieczki, robią dużo zamieszania. Więc jeśli ów pies w ogóle nic nie robił, to tylko z tej przyczyny, że nie było tam nic takiego, co mogłoby go przestraszyć. Wynika z tego, że cokolwiek tam widzieliście, nie był to żaden duch, dlatego właśnie pies nie zwracał na to zjawisko uwagi.

- Do licha! - wykrzyknął Pete. - Racja. A nam to całkiem umknęło!

- Drobiazg - stwierdził pan Hitchcock. - Wszyscy zachowaliście się jak należy i zasługujecie na pochwałę. Ty, Pete, wykazałeś się odwagą i zdecydowaniem. Bob dowiódł swego zdrowego rozsądku pozostawiając ślady, które potem odnalazł Jupiter.

Pan Hitchcock lekko zmarszczył brwi.

- To mi o czymś przypomniało - powiedział. - Pan Won, dzięki hipnozie, zdołał was uśpić. Jednakże w czasie podróży z San Francisco ty, Bob, byłeś zajęty pisaniem karteczek z prośbą o pomoc i wyrzucaniem ich przez szpary pod klapą furgonetki. Dlaczego twoi przyjaciele spali, a ty nie?

- Bo oszukałem pana Wona - uśmiechnął się Bob. - Kiedy zobaczyłem, jak Chang i Pete przewracają się uśpieni, wiedziałem, co mnie czeka. Tak więc, gdy tylko zaczął robić to ze mną, po prostu się przewróciłem, jakby zmorzył mnie nagły sen. Tyle że nie zasnąłem. Cały czas nie spałem. Dlatego mogłem pisać te karteczki. Prawie wszystkie z nich jednak rozwiął pustylny wiatr. Na szczęście jedna z nich utknęła w kolcach kaktusa i Jupe ją odnalazł.

- Szczęście - powiedział pan Hitchcock - musi być wspomagane przez odpowiednie działanie. Wydaje mi się, że wszyscy trzej wykazaliście się tutaj nie lada obrotnością. Dlatego bardzo chętnie opiszę waszą przygodę.

- Dziękujemy panu - odrzekł Jupiter podnosząc się z miejsca. Wychodzili już niemal z gabinetu, kiedy pan Hitchcock zawołał:

- Poczekajcie! Zapomniałem o najważniejszym.

Popatrzył na nich surowo.

- Skoro nie było prawdziwego ducha, to coście tam widzieli? - zapytał. - Coś, co sunęło po korytarzach i przenikało przez ściany? Cóż to takiego było? I nie mówcie mi tylko, że był to kawałek materiału pokryty fosforyzującą farbą, bo wiem, że nie.

- Nie, proszę pana - odrzekł Jupiter. - To było znacznie sprytniejsze. Nawet tego nie podejrzewałem, dopóki nie uświadomiłem sobie, że pies niczego nie wyczuł, a więc

naprawdę niczego tam nie było. Czy mogę zasłonić okna?

Reżyser skinął głową. Jupiter opuścił żaluzje i zaciągnął ciężkie kotary w oknach. W gabinecie zapanował teraz półmrok.

- Niech pan tam spojrzysz - powiedział.

Pan Hitchcock popatrzył. Nagle na tle białej ściany pojawiła się zielonkawa plama światła. Wyglądała jak widmowy Jupiter Jones otulony w białe prześcieradło. Powędrowała z wolna w kierunku drzwi schowka, a potem zniknęła, jakby wtopiła się w nie.

- Zdziwiające - powiedział pan Hitchcock, kiedy Pete i Bob rozsunęli zasłony. - W stosownych okolicznościach byłby to bardzo wiarygodny duch.

- Gdyby wspomagał go jeszcze krzyk i fama domu, w którym straszy, to wcale nie byłoby to nazbyt przyjemne - oświadczył Pete. - Prawda, Bob?

Bob przyznał mu rację, a tymczasem pan Hitchcock oglądał przedmiot wręczony mu przez Jupitera. Przypominał on trochę wielką latarkę, ale wewnątrz miał specjalny reflektor i soczewki.

- To właściwie miniaturowy projektor - powiedział Jupiter. - Do wyświetlania przezroczy. Toteż gdy zrobi pan przezrocze jakiejś widmowej postaci, takie trochę rozmyte, i rzuci je na czarne tło... na przykład na ścianę domu, w którym straszy, otrzyma pan wówczas przekonywającego ducha.

- A promień światła można przesuwac powoli wzdłuż ściany lub też w górę po schodach - zgodził się pan Hitchcock. - To bardzo pomysłowe. Sądzę, że to pan Won udostępnił tę rzecz Carlsonowi?

- Tak, proszę pana - zgodził się Jupiter. - Kiedy Carlson, przykleiwszy sobie sztuczne wąsy i mówiąc dla niepoznaki bardzo grubym głosem, przyprowadził tych mężczyzn do domu, żeby zobaczyli ducha, niósł to po prostu w ręce. A wszystkim wydawało się, że to zwyczajna latarka.

- Niektórzy z tamtych mężczyzn naprawdę mieli latarki, dlatego nie spostrzegli, że właśnie ta jedna w ogóle nie świeci. Zamiast tego Carlson użył jej do wyświetlania obrazu ducha na ścianach albo na drzwiach. Przyciskając mały guzik mógł spowodować, że obraz zniknął, jak gdyby przenikał przez ścianę.

Tam, w Verdant Valley, gdy zaprowadził pannę Green na piętro, pozostał na zewnątrz, podczas gdy ona weszła do ciemnego pokoju. Wyświetlił jej na ścianie obraz ducha. Kiedy krzyknęła i zapaliła światło, schował po prostu projektor do kieszeni, wpadł do środka, podtrzymał ją, a gdy przybyli już inni, zastali go, jak rozcierał jej właśnie nadgarstki.

Był to bardzo przekonujący duch, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że w domu Greena

musiał być ktoś wydający te wrzaski, że mały pies nie wyczuł obecności żadnej nadprzyrodzonej istoty i że Carlson, gdy panna Green zobaczyła ducha, był właśnie z nią sam na sam. A więc to on musiał to wszystko zrobić.

Jupiter schował projektor do kieszeni.

- Zatrzymujemy go jako pamiątkę tej całej historii - oświadczył, a potem wszyscy trzej odwrócili się i wyszli.

Na wargach patrzącego w ślad za nimi reżysera igrał łagodny uśmiech. Bo przecież nawet sam Sherlock Holmes nie byłby w stanie lepiej rozwiązać owej tajemnicy zielonego ducha!